UMCS
LUBLIN

Rak nie musi być śmiertelną chorobą

str. 4—5

CZY SPŁONĄŁ MILION?

Bronisław Kowalski

str. 7

W ANKIECIE „KAMENY" WYPOWIADA SIĘ PROF. DR MIECZYSŁAW SUBOTOWICZ

str. 5

Kalinowszczyzna

Tadeusz Jasiński

str. 3

Fot. W. Stępień

SREBRO W KAZIMIERZU

Mirosław Derecki

str. 8—9

kamena

LUBLIN 2 III 1980 NR 5 (699) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

8 MARCA - ŚWIĘTO KOBIET

Fot. W. Stępień

Stiepan Szczipaczow

* * *

Jak chcesz to nazwij, co przeżywam:
Większa jest czułość w naszym wzroku
I miłość bardziej jest troskliwa,
lecz skądże we mnie ten niepokój?

Już wierzyć nawet w sny zaczynam,
Czasem się myśl zakradnie czarna...
Im większa snadź miłości siła,
Tym większy o nią lęk ogarnia.

Tłumaczył: K. A. Jaworski

Warszawa zaprasza

Redakcyjny komentarz na temat VIII Zjazdu PZPR zatytułowała „Kultura": Głos z Warszawy. Pismo słusznie zwróciło uwagę na międzynarodowe znaczenie Zjazdu. W dzisiejszym targanym niepokojami świecie, gdy siły zimnowojenne nabrały wiatru w żagle, apel Zjazdu „O zachowanie pokoju, o przerwaniu wyścigu zbrojeń i kontynuację polityki odprężenia" ma wymowę szczególną.

EDWARD Gierek, wygłaszając referat programowy Biura Politycznego, podkreślił, że jednym z głównych i niezmiennych — od zarania naszej ludowej państwowości — kierunków działania Polski na arenie międzynarodowej jest dążenie do wniesienia jak największego wkładu w dzieło budowy pokojowych struktur w Europie i na świecie.

Zwycięstwem rozsądku i realizmu nazwał przywódca partii i narodu helsińską Konferencję Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. *Akt Końcowy z Helsinek, podpisany przez przywódców 35 państw, to wielka karta pokoju, która usankcjonowała ostatecznie, w płaszczyźnie stosunków międzynarodowych realia polityczno-terytorialne w powojennej Europie.*

Kluczowe znaczenie — stwierdził Edward Gierek — *dla pogłębienia procesu odprężenia politycznego miałoby jego wzmocnienie odprężeniem militarnym. Z otuchą powitaliśmy podpisanie w ubiegłym roku radziecko-amerykańskiego II układu o ograniczeniu ofensywnych zbrojeń strategicznych. Tym bardziej jesteśmy zaniepokojeni decyzją o odroczeniu procesu ratyfikacji w Kongresie Stanów Zjednoczonych tego układu, na który czekają narody świata.*

To nie jedyny powód naszego niepokoju.

W grudniu ubiegłego roku sesja krajów NATO powzięła złowieszczą decyzję o rozmieszczeniu na terytorium Europy Zachodniej nowych rodzajów amerykańskich broni rakietowo-jądrowych. Większość wyrzutni ma zostać ulokowana w Republice Federalnej Niemiec.

Przypomnijmy w tym miejscu wystąpienia ministra obrony RFN, Hansa Apela, na styczniowym forum Bundestagu. Oświadczył on, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat Bundeswehra otrzymała broń wartości 55 miliardów marek, a z roku na rok zwiększano wydatki na ten cel realnie o 3 proc. *Wszyscy wiecie* — mówił Apel — *jaki udział ma Bundeswehra w [...] sojuszu zachodnim. W Europie środkowej wystawiamy 50 proc. sił lądowych, 50 proc. naziemnej obrony przeciwlotniczej, 30 proc. samolotów bojowych, 70 proc. sił morskich na Bałtyku i 100 proc. lotnictwa morskiego na Bałtyku.*

Okazuje się, że wszystko mało — jedno wielkie szaleństwo!

W tej sytuacji głos z Warszawy, głos nie pierwszy w powojennych dziejach, brzmi niezwykle klarownie:

Nie można — stwierdził Edward Gierek — *godzić się z myślą, że wielkie dzieło pokoju zostałoby zaprzepaszczone. Ludzkość nie może dopuścić do powrotu zimnej wojny. Zbyt wiele dzięki odprężeniu zmieniło się na lepsze w życiu narodów i w życiu ludzi. [...] Musimy w porę zatroszczyć się o to, aby nie dopuścić do zniszczenia tych ważnych elementów struktury pokoju w Europie, które z tak wielkim wysiłkiem od wielu już lat kształtujemy. [...] W ubiegłym roku wraz z naszymi sojusznikami z Układu Warszawskiego wysunęliśmy propozycję zwołania konferencji w sprawie odprężenia militarnego i rozbrojenia w Europie. Obecna atmosfera polityczna nie powinna stanowić przeszkody dla przeprowadzenia tej konferencji. Liczymy na realizm polityczny rządów państw europejskich. [...] Polska byłaby gotowa gościć konferencję w swej stolicy. Byłby to zaszczyt dla naszego kraju, urastający do rangi symbolu. Warszawa, której okupant zgotował tak okrutny los, tętni dziś*

Dokończenie na str. 2

Warszawa zaprasza

Dokończenie ze str. 1

pokojową, twórczą pracą. Byłaby więc godnym i właściwym miejscem dla odbycia tak ważnego spotkania międzynarodowego.

Co dałoby światu rozbrojenie? Listę dobrodziejstw można układać nieskończenie. Kiedyś pokusiła się o to „Odra" stwierdzając, że już redukcja wydatków zbrojeniowych o jeden, zaledwie o jeden procent, pozwoliłaby podwoić pomoc dla krajów rozwijających się. Dziesięcioprocentowa redukcja wydatków wojskowych tylko wielkich mocarstw — stałych członków Rady Bezpieczeństwa — dałaby środki na stopniowe rozwiązanie w ciągu jeszcze bieżącego(!) stulecia problemu głodu w świecie, przestawienia podstawowych gałęzi przemysłu na technologie nie szkodzące środowisku, zapobieżenie kryzysowi i upadkowi miast.

Gdyby redukcja wszystkich światowych wydatków zbrojeniowych wyniosła 20 proc., pozwoliłaby oprócz wyżej wymienionych celów usunąć w ciągu dwudziestolecia wszystkie obciążenia i rozwiązać kwestie takie jak problem analfabetyzmu i niedostatecznego wykształcenia, ochrony zdrowia i śmiertelności na dzisiejszych obszarach nędzy, problem rozwoju przemysłu w tej części świata, a także podniesienia wydajności rolnictwa.

A do czego doprowadziłoby powszechne i całkowite rozbrojenie?

Posłuchajmy. Umożliwiłoby ono:

1) włączenie do produkcji 30 milionów żołnierzy oraz członków formacji paramilitarnych oraz dalszych 30 milionów cywilów o najwyższych kwalifikacjach, pracujących obecnie na potrzeby wojska;

2) włączenie do badań cywilnych 500 tysięcy pracowników sfery B+R, dysponujących najdoskonalszym w świecie wyposażeniem, najwyższym poziomem wiedzy;

3) skierowanie na cele cywilne co najmniej 350 miliardów dolarów rocznie, za co można byłoby wybudować jednocześnie w ciągu każdego roku:

— 15 milionów mieszkań lub domków dla 75 milionów ludzi,

— 150 tysięcy szkół dla 75 milionów uczniów,

— 5 tysięcy najnowocześniejszych szpitali z pełnym wyposażeniem lub tysiąc wielkich elektrowni po 2000—3000 MW każda i tysiąc dużych fabryk nawozów sztucznych;

4) wykorzystanie części majątku wojskowego o wartości 500—600 miliardów dolarów (pozostała część tego majątku nie nadaje się do celów cywilnych);

5) przeznaczenie olbrzymiej i nie dającej się ściśle określić ilości materiałów rozszczepialnych dla potrzeb energetyki i zdecydowaną poprawę światowego bilansu surowcowego.

Wystarczy. Oczywiście trudno się spodziewać, znając realia współczesnego świata i jego historię, aby powszechne rozbrojenie stało się faktem. Droga do niego jest długa, ale nawet małe kroki są tu potrzebne. *Jeśli* — mówił Edward Gierek — *nie udałoby się zapobiec występującym dziś negatywnym tendencjom, to zamiast posuwać się stopniowo, krok po kroku, po drodze budowy wzajemnego zaufania, bezpieczeństwa i współpracy, musielibyśmy w przyszłości poświęcić wiele czasu na odbudowę tego, co zostało zaprzepaszczone z winy sił zimnowojennych...*

Warszawa zaprasza. Z trybuny Zjazdu padły ważkie słowa. Dla dobra całej ludzkości nie mogą pozostać bez echa!

(j)

z notatnika

24 II. Znów nie notowałem na bieżąco, dzień po dniu. A przecież tak bogate, obfitujące w wydarzenia, zarówno w kraju jak i na świecie, były dni ostatnie...

VIII Zjazd PZPR. Uczestniczyłem w nim od poniedziałku do środy. Wydział Prasy, Radia i TV KC starał się obdarzyć zaproszeniami jak największą liczbę dziennikarzy z całego kraju.

Zjazd był obszernie relacjonowany przez środki masowego przekazu, niewiele mógłbym teraz dodać. Zresztą w ostatnim numerze „Polityki" rzecz bardzo trafnie ujął Mieczysław F. Rakowski pisząc: *W Sali Kongresowej, w której obradował VIII Zjazd PZPR, duch twórczego niepokoju nie tylko dał znać o sobie, lecz w sposób decydujący określał to, co nazywamy atmosferą Zjazdu. Nie pomniejszając wielkiego dorobku lat siedemdziesiątych, większość dyskutantów rzeczowo i z pełnym poczuciem odpowiedzialności wskazywała na słabości występujące w naszej codziennej pracy, której ważną częścią jest kierowanie złożonymi organizmami gospodarczymi i społecznymi. Nie ukrywano, że napięcia istniejące w gospodarce utrudniają ludziom pracy codzienne życie i osłabiają produkcyjne oraz społeczne zaangażowanie wielu z nich. Z całą pewnością VIII Zjazd nie był zgromadzeniem zadowolonych z siebie członków partii. Był natomiast rzeczywiście zjazdem twórczego niepokoju. Jest to jedna z ważnych gwarancji pomyślnego i przyśpieszonego likwidowania trudności, które tak bardzo dają się nam we znaki...*

Zjazd podjął uchwałę: „Zadania partii w dalszym rozwoju socjalistycznej Polski, w kształtowaniu pomyślności narodu polskiego", uchwałę w sprawie kompleksowego zagospodarowania Wisły oraz wykorzystania zasobów wodnych krajów a także rezolucję: „O zachowanie pokoju, o przerwanie wyścigu zbrojeń i kontynuację polityki odprężenia". Zjazd skierował do wszystkich obywateli naszego kraju apel o powszechne poparcie uchwał VIII Zjazdu PZPR — podstawowej platformy Frontu Jedności Narodu w wyborach do Sejmu i wojewódzkich rad narodowych.

Zaraz po zakończeniu zjazdu odbyło się posiedzenie Sejmu. Prezesem Rady Ministrów został wybrany Edward Babiuch, który swoje pierwsze wystąpienie podsumował słowami: *Chcemy, aby rząd był konsekwentny w realizacji postanowień VIII Zjazdu, sprawiedliwy w decyzjach, oszczędny w wydatkowaniu środków państwowych, skuteczny w działaniu.*

Nowy szef rządu jasno sprecyzował, co rząd będzie porządkował, ulepszał i zmieniał, podkreślając gotowość wyjścia na spotkanie każdej konstruktywnej krytyce.

I wreszcie w czwartek, 21 lutego, odbyła się sesja plenarna Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu, która przedstawiła społeczeństwu Deklarację Wyborczą FJN.

Uczyńmy — głosi Deklaracja — *program partii, przekonsultowany ze społeczeństwem — wytyczną wspólnych działań całego narodu w nadchodzących latach.*

* * *

Zjazd uczulił Polaków. Właśnie we wspomniany czwartek, gdy toczyły się obrady OK FJN, poinformowano mnie, że dyrekcja WSS „Społem" w Lublinie modernizuje urządzenia wnętrza. Kosztowne boazerie, nowe meble... Ostatecznie prezes od czasu do czasu przyjmuje u siebie i podsekretarza stanu, estetyczny gabinet z pewnością wpływa na wzrost dobrego samopoczucia, więc o co tu mieć pretensje? Jeśli ktoś do mnie zadzwonił, to po prostu dlatego, że zainteresował go los starego wyposażenia, które miało zasilić... kotłownię. Pracownicy WSS chcieli to i owo kupić dla własnych potrzeb, ale istnieje ponoć przepis, który to uniemożliwia. Nie ma jednak przepisu, który zabraniałby niszczenia starych mebli. Jeszcze jeden paradoks współczesności! Ostatecznie, gdy wokół sprawy powstało trochę tak zwanego szumu, szafeczek nie pochłonął ogień, ulokowano je w pokoikach plebsu. Nie ma więc sprawy.

Plebs ciągle jednak czeka na wizytę kogoś z Warszawy. Wówczas bowiem i umywalki są czyste i papier higieniczny w toaletach się znajdzie i podłogi są wypucowane. Szkoda tylko, że wizyty uprzednio się zapowiada. Ale może i to się zmieni?

* * *

Wstrząsnęła mną notatka z „Kuriera Lubelskiego" (nr 43). W Krzaku (woj. zamojskie) żuk wjechał na strzeżony przejazd i w tym samym czasie dróżnik — jak się później okazało pijany — zamknął drugi szlaban blokując dalszą drogę. Widząc to, kierowca żuka, Andrzej F., włączył wsteczny bieg, usiłując wydostać się z pułapki. Niestety, skrzynia biegów odmówiła posłuszeństwa. Widząc, że nie zdoła wydostać samochodu z torów, Andrzej F. wyskoczył z szoferki i otworzył tylne drzwi samochodu, aby ostrzec siedzących tam pasażerów. Było już za późno. Lokomotywa uderzyła w żuka wlokąc go przez 100 metrów. Trzy osoby zostały ciężko ranne i przebywają w szpitalu.

Jest to przerażająca historia, która mogła wydarzyć się każdemu z nas. Narzekamy na przejazdy niestrzeżone, ale one wzmagają czujność u kierowców. Okazuje się, że niekiedy daleko większe niebezpieczeństwo grozi nam na przejeździe strzeżonym. A tu facet, od którego postępowania może zależeć czyjeś życie najspokojniej chleje wódę.

Oczywiście można dziś mówić, że Andrzej F., mógł staranować szlaban i wydostać się z pułapki. Ale w takiej sytuacji mogą całkowicie zawieść nerwy, a strach paraliżuje ruchy. Prokuratura przeprowadzi dochodzenie. Ale chyba dróżnik nie pił sam, do lusterka. Odpowiedzialność, przynajmniej moralna, dotyczy i jego kompana, bądź kompanów.

* * *

Wypadek kolejowy. W swoim czasie uległ mu Edward Stachura, który już się po nim nie podźwignął. „Twórczość" (nr 1) wydrukowała dziennik ostatnich dni życia znakomitego poety.

Pod datą 29 maja (1979) zanotował: *To, co czułem po uderzeniu, to, że dostałem się pod elektrowóz i ten wlókł mnie pod sobą jakiś kawałek, nim się zatrzymał. Bardzo bolało. Czułem wyraźnie jakby każdą sekundę. Lokomotywa stanęła. Ja czułem wyraźnie, że nogi i ręce mam powykręcane i uwięzione, oplątane w żelastwie. Byłem przerażony, ale tak jakbym nie miał na to czasu. Myślałem tylko o tym, żeby się jak najprędzej wyplątać i wydostać spod elektrowozu, nim znowu ruszy. (...) Podczas gdy wyplątywałem się, usłyszałem inny głos, ludzki głos, kogoś jakby przykucniętego obok lokomotywy: „Jest tu; rusza się". I jakieś inne ludzkie głosy. Byłem przekonany, że to wrogowie i że zaraz dobiją mnie. Wyplątałem obie nogi i lewą rękę i wtedy, gdy chciałem się kulnąć na lewo, żeby uciec, poczułem, że prawą dłoń mam pod kołem. Co mogę zrobić? Wyrwać rękę, zostawić dłoń i szybko uciekać, bo usłyszałem, że lokomotywa nade mną zaczyna głośno huczeć. Oczy miałem cały czas zamknięte. Potem zaczęła się inna gehenna".*

Dziennik zajął 25 stron „Twórczości". Jest to lektura, nad którą nie można przejść obojętnie. Zwłaszcza, gdy się znało autora i znając, nie znało go się wcale...

* * *

Przed kilkoma dniami jednym tchem przeczytałem książkę Wilhelminy Skulskiej pt. „Bez skupułów" o sprawie Bielaja, która ciągle budzi sprzeczne uczucia. Mnie interesował jednak nie tyle sam Bielaj, co Aleksander E., towarzysz jego zbrodniczych powojennych eskapad. Z Aleksandrem E. pracowałem przez kilka lat w jednej redakcji szczecińskiej, spotykaliśmy się na co dzień. Kto z nas, jego kolegów, mógł przez moment sądzić, że ściskając dłoń Aleksandra E., ściskamy dłoń człowieka, mającego za sobą tak okrutną przeszłość?

Ludziom się ufa, ludziom trzeba ufać. Sprawa Aleksandra E. nie daje mi jednak spokoju. I myślę o niej aż nazbyt długo...

Marek A. Jaworski

Kość słoniowa w sejfach

RUN na złoto i na srebro. O tym wiemy. Ale jest jeszcze inny, mniej znany powszechnie run na... kość słoniową. Dziś kość słoniowa kosztuje tyle, co srebro i dochodzi często, jak pisze francuski tygodnik „L'Express", do 700 franków za kilogram. Nie jest już to tylko surowiec, z którego wyrabia się statuetki i bransolety, kule bilardowe i klawisze fortepianowe. Tak samo jak diamenty, kość słoniowa przejmuje rolę dewiz, których kursy zmieniają się.

Tysiące kłów o wartości miliarda franków są prawdopodobnie zmagazynowane obok sztab złota w podziemiach banków i towarzystw inwestycyjnych w Tokio, Hongkongu, Londynie i wielu innych stolicach...

Jak to zawsze bywa, chęć zysku rodzi i nadużycia, rozwija nielegalny przemyt. Słonie stały się ruchomymi kasami pancernymi, są tropione i masakrowane. Podobnie jak wielorybom grozi im zniknięcie z naszej planety.

Teoretycznie zabijanie słoni i handel kością słoniową są raglementowane na mocy konwencji waszyngtońskiej podpisanej w 1973 r. i ratyfikowanej przez 58 państw. W zasadzie każdy rząd udziela zezwolenia na polowanie w zależności od wielkości stada. Przy przewozie kości słoniowej przez granicę należy okazać zezwolenie na wywóz. Państwa eksportujące, które podpisały konwencję, zobowiązały się w ten sposób do nieprzekraczania pewnych limitów. Celem tych zarządzeń jest zapobieganie całkowitemu wyniszczeniu słoni, których w Azji praktycznie już nie ma.

Wyścig o zdobycie kości słoniowej powoduje każdego roku śmierć 60 tysięcy, a często i 70 tysięcy słoni afrykańskich. W latach 1970—1977 zginęła połowa słoni w Kenii, które padły ofiarą kłusownictwa.

Od pewnego czasu Kenia i Zair wprowadziły embargo na wszystkie trofea z kości słoniowej. *Ale w jaki sposób chcielibyście kontrolować busz?* — zapytały dwie osobistości środkowoafrykańskie z rodziny byłego cesarza Bokassy. — *Kły są przemycane za zegarki i whisky. Przemytnicy przypływają nocami pirogami rzekę. Jeśli jest tam celnik, otrzymuje on niewielką sumę i przymyka oczy...*

Podobnie jak przemyt narkotyków, kość słoniową ukrywa się wśród innych artykułów. Kły przewożone są do Europy w skrzyniach z napisem: „Rzeźby z drzewa" lub „Urządzenia mechaniczne".

W ciągu dziesięciu ostatnich lat światowy handel kością słoniową wzrósł dwukrotnie — do 800 ton. Korupcja zaczyna się często w biurach, gdzie wydaje się zezwolenia na polowania. Ale monopol na handel kością słoniową może być i w rękach poszczególnych przywódców państw afrykańskich. Obalony, wspomniany już wyżej, Bokassa czerpał dzięki temu olbrzymie dochody. Wysyłał on wojsko do buszu w poszukiwaniu słoni. Mniej więcej dwa razy w miesiącu do Bangui powracał konwój ciężarówek wojskowych załadowany trofeami, paradując aż do koszar żandarmerii w centrum miasta. Tam każdy kieł ważono, numerowano, wystawiano na słońce, zanim został załadowany na dwie caravelle cesarskie lub nawet na samoloty „Air Afrique", udające się na lotnisko Roisy pod Paryżem.

Po obaleniu Bokassy trochę się zmieniło, ale państwo cierpi na brak dewiz, słonie nie mogą więc czuć się bezpiecznie.

Słonie to problem najbardziej drastyczny, ale i inne zwierzęta są obiektem handlu. I to w jaki sposób się je przemyca! Małe szympansy są przebrane za niemowlęta i przewożone z kraju do kraju w wózkach dziecinnych, aby zmylić czujność celników. *Wyrwijcie pióra z ogonów, przemalujcie skrzydła i dziób na czerwono i żółto* — pisał dyrektor pewnego japońskiego ZOO w zamówieniu na rajskie ptaki, których wywóz z Indonezji jest zakazany.

Jak tak dalej pójdzie, to ogrody zoologiczne ulegną likwidacji. Po prostu nie będzie w nich co trzymać...

Kamena str. 2

Kalinowszczyzna

Tadeusz Jasiński

Fot. W. Stępień

NIE jestem przewodnikiem oprowadzającym wycieczki, gdybym nim jednak był, najpewniej, po pokazaniu lubelskiego Zamku i Starówki, zatrzymałbym autokar przy placu Bieruta. Turyści wysiedliby wraz ze mną, a kierowcy kazałbym pojechać dotykającą tego nowego placu ulicą Kalinowszczyzna i zaczekać aż przy mostach nad Bystrzycą, dokąd doszlibyśmy łukiem. Zaczęlibyśmy zwiedzanie tej części Lublina od złożenia kwiatów pod pomnikiem pierwszego prezydenta, który w tym mieście się urodził i tu rozpoczął rządy, ogłaszał dekrety utwierdzające nową rzeczywistość. Powiedziałbym gościom, gdy w podniosłym nastroju opuszczaliby to piękne miejsce i wkraczali w ulicę Bieruta, że na ścianie pierwszego budynku, albo na niewielkim postumenciku, winna znaleźć się tablica objaśniająca narodziny tej całkiem nowej dzielnicy na mało urodzajnych polach wioski Kalinowszczyzna. Nade wszystko widziałbym wyżłobione imiona i nazwisko dwojga ludzi, których koncepcja urbanistyczna w swej realizacji wnet dobiegnie końca: Rita i Tadeusz Nowakowscy. Winno się na tablicy także znaleźć, że wizję tę realizował pod ich kierownictwem zespół architektów lubelskiego „Miastoprojektu". Tak, jak to zresztą uwzględniała w swoim czasie nagroda ministra budownictwa i przemysłu materiałów budowlanych.

Zapis taki można jeszcze uczynić, skoro nie zapomniano kiedyś w alejach PKWN o innych twórcach udanych obiektów. Tu chodzi o całą dzielnicę, w której mieszka trzydzieści tysięcy ludzi, nad której budową nadzoru do dziś nie wyrzekli się oboje jej twórcy. Może dzięki temu tak chętnie „Kronika Filmowa", telewizja i fotoreporterzy ze swoimi aparatami zachodzą właśnie tutaj?

Poprowadziłbym naszych gości ulicą Bieruta, wiódłbym ich przez mostki i schody, zwróciłbym uwagę, jak budowlani w minimalnym stopniu zniszczyli naturalną rzeźbę terenu, wykorzystali, zgodnie z założeniami projektu, góry i doliny starej wioski, ciągnącej się aż po Ponikwodę. Szlibyśmy deptakiem obok rzędu sklepów: powiedziałbym, że dalej za rondem są jeszcze bogatsze. Razem na całej Kalinowszczyźnie pokazałbym im 82 sklepy, lokale gastronomiczne, sklepiki i kioski „Ruchu", punkty usługowe, a nadto zobaczyliby urzędy pocztowe, dwa ośrodki zdrowia, 3 kluby osiedlowe, przedszkola, żłobek, biosaunę i dwie filie biblioteczne.

Zanim opuścilibyśmy osiedle Bieruta i boczne, przypomniałbym, że tu mieszkają członkowie spółdzielni „Kolejarz" oraz ci, którym zdążono jeszcze dać przydziały z Urzędu Miejskiego, czyli — jak to się dawniej mówiło — z miejskiej rady. No, a tam za głębokim wąwozem, o którym opowiedziałbym później, panuje niepodzielnie Robotnicza Spółdzielnia Mieszkaniowa „Motor".

Nasi goście zobaczyliby dobrze zorganizowane miasto w mieście, równe niejednej stolicy nowo powstałego województwa, tyle tylko że całkowicie nowe i nie obciążone obiektami administracyjnymi. Ponieważ wycieczka wcześniej zwiedzałaby zapewne Lubelską Spółdzielnię Mieszkaniową, widziałaby oddzielność osiedli, pewien chaos przestrzenny, ale sympatycznie zapamiętała najlepiej zorganizowane osiedle Mickiewicza z jego wspaniałą roślinnością, drzewami, które miłosiernie już osłoniły stodołowate chałupy. Prosiłbym o przywołanie na pomoc wyobraźni, która podpowie, jak na Kalinowszczyźnie będzie za piętnaście, dwadzieścia lat. Drzewka i krzewy tu posadzone niedawno, wciąż się je uzupełnia, szczególnie tam, gdzie wznoszone są ostatnie budynki. Latem widać to wyraźniej, bo spotkamy tam całe łąki traw i koniczyn, kwietniki oraz to wszysko, co już koronami liści góruje nad człowiekiem, ale jeszcze nie potrafi użyczyć mu cienia. Zimą pusto wydaje się między domami, spostrzega się jednak z uznaniem wolne przestrzenie zdobione popiersiami Świerczewskiego, Bema, Kościuszki i Jarosława Dąbrowskiego oraz formami przestrzennymi, które są dziełem studentów Sławomira Mieleszki z UMCS. Nie sądzę, aby dzieła studentów nie specjalizującej się w rzeźbie uczelni zasługiwały na trwałe wystawienie, ale są również zwolennicy tej formy upiększania Kalinowszczyzny.

Tak zobaczyłaby Kalinowszczyznę wycieczka z innej dzielnicy Lublina lub zgoła z dalszych stron kraju. Przekonaliby się goście, że owe trzy dziesiątki tysięcy mieszkańców rzeczywiście winny być szczęśliwe, bo w tej, a nie w innej części tego dużego miasta mogły się osiedlić. Nie byłoby to przekonanie kłamliwe, ani zła wola oprowadzającego. Przecież mogli wszystko sprawdzić. Każdy budynek z osobna jest podobny do innych w Lublinie i kraju, wznoszony jest z wielkiej płyty: parterowy handel, pięcio-, ośmio- i jedenastokondygnacyjne domy mieszkalne. Różnica i urok polega w ich zróżnicowanym rozmieszczeniu, w myśli urbanistycznej i architektonicznej twórców, w wykorzystaniu rzeźby terenu, a nade wszystko w związaniu logicznym całości dzielnicy.

Jej mieszkaniec jednak bytuje tutaj na co dzień i oprócz uznania dotąd przytoczonych oczywistych faktów i spostrzeżeń przeżywa — jak w każdej innej części Lublina — swoje wielkie, małe sprawy, niedogodności, a nawet budzące zniecierpliwienie zastrzeżenia. Jakie one mogą być? Podobne jak na Czechowie, jak gdzie indziej, tyle tylko, że chociaż np. osiedle XXX-lecia PRL zakończone zostało już dawno, a Niepodległości także większość zabudowań otrzymało przed pięciu laty, nie powstała tam ani jedna szkoła, żadne przedszkole i żłobek.

Ten zarzut jest najpowszechniejszy. Przewodniczący Rady Osiedla Niepodległości, mgr Henryk Zbęk, który przez długie lata był dyrektorem Szkoły Podstawowej nr 10 przy ul. Kalinowszczyzna, objaśnia mnie, jak problem ten jest nabrzmiały. Placówka ta miała pomieścić 650 uczniów i mogłaby funkcjonować normalnie. Tymczasem musiała przyjąć o tysiąc więcej ponad swoją zwykłą pojemność, działa więc wielozmianowo od 7.30 do 17. Jakże więc utrudniona jest praca kółek zainteresowań. Zresztą wieczorem, szczególnie od jesieni do wiosny, ze względu na góry i doliny dzielnicy — chociaż stosunkowo spokojna — wychodzenie dzieci poza rodzinny dom nie jest raczej wskazane. Sporo uczniów uczęszcza do znajdującej się aż za cmentarzami szkoły nr 4 przy Hiacyntowej. Nie ma do niej żadnej komunikacji, natomiast niewątpliwą atrakcją jest chodzenie drogą między grobami, co, jak się domyślamy, młodzi uwielbiają, szczególnie, gdy zapada zmrok. Stosunkowo najlepiej jest uczniom, których skierowano do osiedla przy Bieruta, do szkoły nr 37. Jednak kilka przejść przez ulice we wszystkich tych rozwiązaniach budzi obawy rodziców.

Tymczasem już teraz wiadomo, że Kuratorium ma trudniejsze jeszcze problemy do rozwiązania na Czechowie, przy Nałkowskich itp. Oba zespoły szkolne oraz przedszkole w osiedlach Niepodległości i XXX-lecia muszą, niestety, poczekać. Natomiast ogrodzono dwa placyki, zwieziono już trochę materiałów. Na pierwszym budowane będzie przedszkole, na drugim żłobek, a więc Kuratorium i Zespół Opieki Zdrowotnej ulżą młodym rodzinom. Tylko... tylko że od lata, po zamarkowaniu tego zamierzenia, nic się tam nie dzieje. Przewodniczący Rady Osiedla XXX-lecia, Krzysztof Zatorski, z uznaniem mówi o przedsięwzięciu zarządu Spółdzielni „Motor", który pomieszczenia społeczno-wychowawcze (niezwykle zresztą potrzebne przy Rutkowskiego 8 adaptował na przedszkole, co wraz z drugim na Kniewskiego złagodziło w swoim czasie potrzeby spółdzielców po obu stronach alei Lenina. Dawno już jednak są one o wiele większe.

Zapytuję więc inżyniera Piotra Maciejewskiego, pełnomocnika zarządu „Motoru" do spraw inwestycyjnych, czy w tak zwanym sektorze „F" Kalinowszczyzny, a więc po prawej stronie ul. Niepodległości, przewiduje się tego typu placówki? Nie, niestety nie. Owszem, spodziewana jest rozbudowa ośrodka zdrowia, a poniżej skarpy, w wąwozie, powstanie mini-stadion, nawet z trybunami. Życie sportowe przeniesione więc będzie z placu nieistniejącej szkoły na to boisko.

Natomiast wzdłuż skarpy zostanie zbudowany około 1982 r. osłonowy dla osiedla tzw. łamaniec; on uwieńczy budowę mieszkalnej części Kalinowszczyzny. Będzie podobny temu na Czechowie, ma stopniowo wzrastać od pięciu do dziewięciu kondygnacji. Wykańcza się obecnie wnętrza w kolejnym wieżowcu, rozpocznie się budowę następnego i budynków pięciokondygnacyjnych, aby zamknąć zabudowę aż do samej Ponikwody. Będzie to jeszcze 700—800 mieszkań dla około dwóch lub dwóch i pół tysiąca osób. Wyliczenia wykażą czy muszą tam powstać także sklepy i lokale usługowe, czy nie byłaby wskazana filia Wojewódzkiej Biblioteki. Idee architektów Nowakowskich i ich współpracowników zostaną wtedy w części mieszkalnej spełnione.

W rozmowie na te tematy prezes spółdzielni, Jan Chatała, i jego zastępca, Ryszard Bielawski, zwracają uwagę na konieczność rozpatrywania tych potrzeb w kontekście całej dzielnicy. Dla obu omawianych osiedli uzupełnieniem jest osiedle Bieruta, jak i dla niego one właśnie: XXX-lecia i Niepodległości. Jest to przecież jeden organizm urbanistyczny, a także handlowy, usługowy, powinien stać się nim w przyszłości także w dziedzinie kultury. Zapewne potrzeby ludności zostaną zaspokojone, gdy Kuratorium i ZOZ spełnią swoje zamierzenia, handel będzie dysponował większą ilością i asortymentem towarów, a rzemiosło podniesie jakość usług oraz je zwielokrotni.

Sam mieszkam w osiedlu Niepodległości i zdaję sobie sprawę z tej prawdy. Cieszę się, że uzyskało ono nagrodę Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej i „Kuriera Lubelskiego" — nagrodę Srebrnej Róży. Z jakim to jednak trudem samorząd mieszkańców i administracja osiedla Niepodległości zdołały wywalczyć. Telekomunikacja rozkopywała murawę po oddaniu do użytku centrali telefonicznej przy Koryznowej; Lubelskie Przedsiębiorstwo Robót Inżynieryjnych tak niesolidnie wykonało swoje prace, że tylko w ostatnich dwu latach aż 18 razy zdarzyły się wielkie awarie związane z wodą; a ile drobnych, a ile z kanalizacją? Lubelskie Przedsiębiorstwo Instalacji Sanitarnych i sam Kombinat Budowlany, który buduje dzielnicę także nie są w wielu dziedzinach bez winy. Oczywiście, fachowcy z LPRInż. mogą powiedzieć, że ołów jest materiałem deficytowym, a hydraulicy osiedli po obu stronach alei Lenina zgodnie, choć brutalnie wyjaśniają, że ołowiu w tzw. sztamunkach nie uda się zastąpić folią, tak, jak za przeproszeniem papieru toaletowego ściernym. Dodają jednak, że nikt nie usprawiedliwi tamtych speców, są roboty zależne tylko od nich, uszczelnianie połączeń między rurami, ubijanie ręczne pakułowego sznura jest podstawą. Oczywiście, zalanie tego miejsca ołowiem byłoby najwłaściwsze i trwałe.

Bardzo często trapią mieszkańców Kalinowszczyzny przemakające dachy. Papę kładzie się nawet potrójnie, jest ona jednak przesiąkliwa i rozciągliwa, a smołowanie niewiele temu zaradzi, gdy wytwórnie nie potrafią uporać się z technologią, znaną co najmniej od dwu stuleci.

Oszczędne inwestowanie także daje już znać o sobie. W mieszkaniach jest zimniej niż po ich zasiedleniu. Wietrzeją styropiany w sąsiedztwie okien, od samego początku złe były roboty stolarskie, szczególnie właśnie okna. To prawda, że ciepłownia FSC przesyła mniej gigakalorii niż dawniej, ale i domy starzeją się już w swojej młodości. Czy nie jesteśmy za ubodzy, aby tak tanio budować?! Mają te budynki służyć niedługo, bo 60 lat, ale wtedy one zwrócą dopiero swą wartość i od tego momentu powinny oddawać procenty. Lubelskie Przedsiębiorstwo Energetyki Cieplnej nieustannie musi walczyć z tzw. grzejnikami panelowymi, okazuje się jednak, że starodawne żeberka żeliwne trudno zostąpić blachą. A więc znowu to tanie jest zbyt drogie, a równocześnie powoduje, iż mieszkanie w pięknej dzielnicy — mimo że przywołamy w wyobraźni przyszły obraz połączony z drzewostanem — nie należy do najłatwiejszych. Partaczunie z LPRInż. nie potrafili nawet poprawnie zaasfaltować chodników i dróg, szczególnie w osiedlu Niepodległości. Otrzymują zły asfalt, pewnie to prawda (a swoją drogą każdy od kogoś otrzymuje zły materiał, co jakoby ma usprawiedliwiać jego złą robotę), ale przecież siły wyższe nie przyjdą wyrównać, wygładzić choćby zwykłą łopatą. Nadto deszcz nie powinien ujawniać aż tak złej fachowości. Tam się tworzą kałuże, nawet spore stawy! Ambicje zawodowe robotników i techników aż tak zupełnie zanikły?

Nękają też mieszkańców problemy komunikacyjne. Przydał by się autobus, który by zawracał u dołu alei Lenina przy mostach.

Tego wszystkiego wymyślonej przeze mnie wycieczce bym jednak nie ujawniał, w dniu pogodnym, wiosenno-letnim nawet by nie spostrzegła niczego z wyliczonych tu spraw, które nękają mieszkańców Kalinowszczyzny. Sami też by ich nie pokazali, bowiem ukształtował się tam już swoisty patriotyzm dzielnicy. Widzą kalinowszczanie tę część miasta z szumiącymi drzewami, z krzewami, kwietnikami i trawami, z drugim mostkiem, który ma spiąć ulice Rutkowskiego i Jedności Robotniczej, uczynić przejście przez aleje Lenina bezpieczniejszym. Rozpoczęte prace w czynie społecznym, w których mają swój udział, zapowiadają zagospodarowanie ostateczne wąwozu dzielącego osiedle Bieruta od obu pozostałych: Niepodległości i XXX-lecia. Grają tam już tzw. dzikie drużyny, ale przecież powstanie boisko prawdziwe, otwarty basen, wyciąg narciarski i saneczkowy, amfiteatr, wspomniany zespół szkolny, słowem wraz z zasadzonym już drzewostanem będzie to jeszcze jeden piękny akcent tej logicznie pomyślanej dzielnicy.

Kiedy się to widzi, wspomniane mankamenty łagodnieją, stają się mniej dokuczliwe. Wtedy wzrasta gotowość ukazywania zwiedzającym wyłącznie tego, co rzeczywiście jest piękne i niemożliwe do zakwestionowania.

Rak nie musi być śmiertelną chorobą

Rak nie koniecznie musi oznaczać wyrok śmierci. W 40 procentach przypadków można mu zapobiec, a przynajmniej opóźnić jego wystąpienie. Można też niektóre formy raka całkowicie wyleczyć. Czy to jest naprawdę możliwe? Owszem, jeśli się umie spojrzeć prawdzie w oczy, jeśli się dobrze pozna wszystkie czynniki sprzyjające powstawaniu nowotworów, jeśli się potrafi zmienić swą postawę wobec raka. Taki jest pogląd dwóch wybitnych onkologów francuskich, 38-letniego profesora Saad Khoury, kierownika ośrodka badań nad rakiem przewodu moczowego w szpitalu La Pitié, i 41-letniego profesora Claude Jasmin, kierownika laboratorium hematologii i biologii nowotworów w szpitalu Paul-Brousse w Villejuif. Przedstawiciele tygodnika L'EXPRESS przeprowadzili rozmowę z obydwoma profesorami. Jej przedmiotem były tezy obu uczonych zawarte w ich niedawno opublikowanej książce pt. „Cancer". (Wywiad drukujemy w skrócie).

L'EXPRESS: Dlaczego napisali panowie tę książkę i czego się po niej spodziewacie?

Prof. Khoury: Należę do ludzi, którzy boją się choroby, a raka w szczególności. Przed pięciu laty, gdy na prośbę profesora Kuessa rozpocząłem badania nad rakiem dróg moczowych, bałem się, że ten strach się spotęguje. Dzisiaj stwierdzam ze zdumieniem, że nieco mniej się boję raka, ponieważ nabrałem przekonania, że nie musi on nieodwołalnie prowadzić do śmierci. Wiem, że jeśli zmienię nieco swą własną postawę, swoje codzienne nawyki, to w aktywnym okresie mego życia będę mniej narażony na niebiezpieczeństwo raka. Jestem obecnie przekonany, że można zwalczać to ryzyko i dlatego czuję się bezpieczny. Napisałem tę książkę właśnie, aby przekazać opinii publicznej to poczucie bezpieczeństwa, które się we mnie zrodziło dzięki własnemu doświadczeniu.

Prof. Jasmin: Ponieważ rak jest spośród wszystkich chorób tą, która wywołuje największe obawy i sprawia największe wrażenie, ludzie chcą mieć jak najwięcej informacji na ten temat. Wiele się o tym dyskutuje, jest to temat, jak to się mówi „chodliwy". Chcieliśmy powiedzieć prawdę o obecnym stanie wiedzy w zakresie onkologii, o wynikach badań i nadziejach, jakie one budzą, nie umniejszając przy tym problemu. Książka ta odpowiada na pytania, które wszyscy zadają — chorzy, ich rodziny lub po prostu ci wszyscy, którzy się niepokoją i chcą się czegoś dowiedzieć. Istnieją w istocie różne odmiany raka o różnych konsekwencjach dla organizmu i różne są też sposoby ich leczenia oraz perspektywy ewolucji. Dlatego zwróciliśmy się do innych onkologów, aby udzielili nam odpowiedzi na pytania z dziedzin, nad którymi pracują. Te odpowiedzi pragnęliśmy sformułować możliwie jak najbardziej zwięźle i precyzyjnie, a zarazem skrupulatnie przestrzegaliśmy ścisłych reguł nauki. Jestem bowiem przekonany, że jakość informacji na temat raka może być znacznie ulepszona i jest to sprawa zasadnicza.

L'EXPRESS: Jaka powinna być prawdziwa informacja na temat raka?

Prof. Khoury: Nie można mówić o raku, tak jak się mówi o teorii antymaterii. Informowanie opinii publicznej w tej dziedzinie powinno mieć na celu jedynie oddanie przysługi temu, kto nas słucha lub czyta. To, co mówimy, powinno mieć dla ludzi konsekwencje praktyczne — a więc uspokoić ich lęk, skłonić do zmiany trybu życia, namówić do zasięgnięcia porady lekarza, jeśli zajdzie potrzeba.

Gdyby istniał jakiś jedyny sposób leczenia raka, gdyby wystarczyło w tym celu kilka pigułek lub kilka zastrzyków, informacja byłaby niepotrzebna. Postęp w walce z rakiem składa się z drobnych codziennych osiągnięć w różnych dziedzinach, takich jak zapobieganie, wczesne wykrywanie, nowa terapia itp. Oznacza to, że nie można zwalczać takiej plagi, jaką jest rak, bez współpracy opinii publicznej, bez aktywnego udziału społeczeństwa. Taką zaś współpracę można uzyskać tylko dzięki informacji, która jest potężną i jedyną w swoim rodzaju bronią w walce z rakiem.

L'EXPRESS: Czy jedynym sposobem demistyfikacji raka jest odważne ustosunkowanie się do tej choroby?

Prof. Khoury: Niebezpieczeństwa boimy się najbardziej wtedy, gdy staramy się je omijać. Rak sam sobie robi reklamę, codziennie bowiem zdarzają się wokół nas przypadki zachorowań na raka i właśnie nie sposób go ignorować. Często mamy na ten temat fałszywe wyobrażenia, sądzimy np., że rak jest zaraźliwy. Im mniej człowiek wie, tym bardziej się niepokoi. Wielu ludzi sugeruje się przypadkami chorych, którzy umierają na raka, nie dostrzegając tych, którzy zostali wyleczeni, żyją normalnie i mogliby stanowić dobry przykład dla tych, którzy są dotknięci chorobą.

Prof. Jasmin: Trzeba bezwzględnie zapobiegać zgonom na skutek ignorancji. W Stanach Zjednoczonych panuje opinia, że jedna czwarta osób, które umierają na raka, to najczęściej ofiary własnej niewiedzy. Ponieważ nie były dostatecznie poinformowane, nie zaalarmowały ich takie objawy, jak krwawienie, zgrubienie piersi, trudności w przełykaniu czy zaburzenia funkcji trawiennych. Jeśli nasza książka dostarczy ludziom odpowiednich informacji, to już będzie wielkie dobrodziejstwo.

L'EXPRESS: Z jednej strony istnieje powszechna obsesja raka, a z drugiej strony wielu chorych nie chce dostrzegać niepokojących objawów, chociaż zdają sobie sprawę, że mogą one oznaczać coś złego. Jak panowie tłumaczą tę sprzeczność?

Prof. Jasmin: Taka postawa wynika ze strachu — paraliżującego strachu przed diagnozą. Gdyby jednak ludzie byli poinformowani, wiedzieliby, że w przypadku raka piersi czy macicy szybka interwencja może znacznie przedłużyć życie. Dotyczy ta także raka jamy ustnej, gardła i skóry, a ostatnio nawet raka przewodu pokarmowego: wcześnie wykryty rak odbytnicy daje obecnie dużo lepsze rokowania. Niestety, w innych przypadkach — jak rak trzustki, jajników lub niektóre nowotwory mózgu — nawet szybka interwencja nie wpływa pomyślnie na rokowanie. Istnieje jednak wiele innych form raka i tutaj potrzebna jest jak najszersza informacja.

L'EXPRESS: Czy nie sądzą panowie, że środki informacyjne zbyt często wysuwają na pierwszy plan nową terapię, będącą jeszcze w stadium doświadczeń, i ukazują te nowe metody w sposób sensacyjny, co budzi niekiedy fałszywe nadzieje oraz odwraca uwagę opinii od prawdziwych problemów?

Prof. Khoury: Zgadzam się z tym poglądem w zupełności, ale jest to reakcja na oczekiwania opinii społecznej, która spodziewa się odkrycia nowego środka, pozwalającego jej uniknąć zmiany własnej postawy. Byłaby to swego rodzaju pigułka, dzięki której można by palić i pić, nie ryzykując zachorowania na raka.

Prof. Jasmin: W tej nadziei jest jakaś bierność. Jednakże dla podtrzymania nadziei konieczne jest reklamowanie nowej terapii, nawet jeśli znajduje się ona w fazie eksperymentalnej.

L'EXPRESS: Ta nadzieja opiera się jednak na pewnych realiach, gdyż w walce z rakiem osiągnięto znaczny postęp.

Prof. Khoury: Przed trzydziestu laty można było jeszcze twierdzić, że wszystko, co było wiadome na temat raka, mogło się zmieścić na bilecie wizytowym. Zbyt wielu ludzi dotychczas wyznaje ten szkodliwy i błędny pogląd. Obecnie przecież leczymy formy raka, które jeszcze przed kilku laty były nieuleczalne.

L'EXPRESS: Jakie przypadki raka są najbardziej uleczalne?

Prof. Jasmin: Istnieje co najmniej osiem nowotworów, które dzięki nowym metodom leczenia można obecnie w wielu przypadkach wyleczyć. Są to: ostra białaczka u dzieci (wyleczalna w 50 procentach);nowotwór nerki u dzieci (wyleczalny w 70 procentach); embrionalna sarkoma mięśni u dzieci (wyleczalna w 60 procentach); nowotwór jądra, występujący u ludzi młodych, od 20 do 30 lat (wyleczalny w 70 procentach); choroba Hodgkina, czyli nowotwór gruczołów limfatycznych (wyleczalny w 70 procentach); limfosarkoma Burkitta, nowotwór systemu limfatycznego, często występujący w niektórych regionach Afryki (wyleczalny w 60 procentach) osteosarkoma, czyli nowotwór kości (wyleczalny w 50 procentach); rak łożyska u kobiet (wyleczalny w 70 procentach). Rak skóry jest uleczalny w 75 do 95 procentach. Są również szanse wyleczenia większości przypadków raka umiejscowionego lokalnie i nie rozprzestrzeniającego się, jak rak macicy, rak przewodu pokarmowego, a przede wszystkim rak jelita grubego. Ostatnie statystyki amerykańskie wykazują, że znaczny postęp osiągnięto w leczeniu raka piersi — wskaźnik śmiertelności w tych przypadkach stale spada. Zwiększenie o kilka procent wskaźnika uleczalności raka piersi oznacza ocalenie tysięcy istnień ludzkich.

L'EXPRESS: Czy ma pan na myśli wyleczenie, czy przedłużenie życia?

Prof. Jasmin: W niektórych przypadkach mam na myśli wyleczenie, a w każdym razie przedłużenie życia, poza tym samym nadzieję, że to przedłużenie życia przekształci się w ostateczne wyzdrowienie. Trzeba mieć pewien dystans, aby móc przewidzieć wyleczenie i ustalić długofalowe rezultaty nowych metod leczenia, jak np. nowej chemioterapii stosowanej w przypadkach raka piersi.

Prof. Khoury: Trzeba też podkreślić, że znaczny postęp osiągnięto w leczeniu dzieci i ludzi młodych. Zadaniem medycyny jest jak najdalsze przesunięcie wieku zachorowalności, zapewnienie ludziom jak najdłużej dobrego zdrowia, ale medycyna nie może zapobiec śmierci.

Prof. Jasmin: Na płaszczyźnie naukowej fakt, że można wyleczyć białaczkę u dzieci, ma wielkie znaczenie, gdyż po raz pierwszy leczy się raka całego systemu organizmu.

L'EXPRESS: Co będzie najbardziej skuteczne w najbliższej przyszłości — zapobieganie nowotworom, czy też nowe odkrycia w zakresie terapii?

Prof. Jasmin: Logicznie rzecz biorąc, zapobieganie stwarza największe szanse. Działanie w tej dziedzinie napotyka jednak pewne przeszkody. Wiadomo np., że znaczna część przypadków raka u mężczyzn spowodowana jest paleniem tytoniu i piciem alkoholu. Jest to fakt niepodważalny i nie podlegający dyskusji: oba te czynniki mają ogromny wpływ na wskaźniki zachorowalności na raka, zwłaszcza na raka krtani, przełyku, płuc, dróg oddechowych i przewodu pokarmowego, są to bowiem drogi, którymi przechodzi dym z papierosów i alkohol. Gdy alkohol i dym tytoniowy spotkają się w tym samym miejscu, działanie rakotwórcze potęguje się w dwójnasób. Czy jednak naprawdę chce się ludziom prowadzić tę kampanię zapobiegawczą?

L'EXPRESS: Muszą panowie przyznać, że walka jest trudna. Żądacie od ludzi, aby zmienili tryb życia i codzienne nawyki, ale oni tego tak łatwo nie akceptują.

Prof. Khoury: Jak mówił Mark Twain, „nie można się pozbyć nawyku wyrzucając go przez okno, trzeba go zmusić, aby schodził po schodach stopień po stopniu". Ale to nie powód, aby tych nawyków nie atakować. Nie można narzucić prewencji, ani regulować zachowania ludzkiego środkami odgórnymi. Nawet najlepiej zorganizowany ogród zoologiczny nie przestaje być ogrodem zoologicznym i nie może służyć za wzór dla społeczeństwa ludzkiego. Pamiętamy, co się działo w Stanach Zjednoczonych w okresie prohibicji. Nie trzeba też rzucać klątwy na ludzi, gdyż wszelki fanatyzm wywołuje taką samą reakcję. Trzeba perswadować i przekonywać, wiedząc, że zmiany będą następować powoli. Chodzi o to, aby propagować umiar i wstrzemięźliwość, a nie wydawać zakazy. Żyć to znaczy ryzykować, ale jest to ryzyko obliczone. Spożycie pół butelki wina dziennie to ryzyko minimalne w porównaniu z przyjemnością, jaką daje wino. To stanowi jeden z elementów jakości życia. Poza tą granicą zwiększa się ryzyko choroby, a co za tym idzie cierpień i być może śmierci. Niemal wszyscy lekarze angielscy przestali palić. Czy są bardziej nieszczęśliwi niż ich poprzednicy?

L'EXPRESS: Nadmierne picie i palenie wynika, być może, z głębokich motywacji psychologicznych. Czy palenie i picie alkoholu nie stają się na pewnym etapie chorobą?

Prof. Jasmin: To jest pytanie zasadnicze. Wiele argumentów przemawia za tym, aby oba te zjawiska traktować jako chorobę organiczną, objawiającą się określonymi symptomami, które można wykryć za pomocą pewnych badań. Gdyby to była prawda, słuszne byłoby zwalczanie palenia i picia, tak jak się zwalcza wszelkie inne choroby, mniej lub bardziej autorytarnymi metodami. Jeśli jest to jednak pewna postawa społeczna, medycyna nie ma prawa interweniować i dotychczas sprawa ta pozostaje w zawieszeniu.

Prof. Khoury: Palenie i picie nie od razu stają się chorobą — są to najpierw nawyki, które się nabywa i którym sprzyjają takie czynniki, jak środowisko, reklama, styl życia itp. Kojarzenie papierosa z męskim typem cowboya lub eleganckiego play-boya miało duży wpływ na zużycie tytoniu w Stanach Zjednoczonych. Dziecko palacza jest znacznie bardziej skłonne do palenia niż dzieci ludzi niepalących. Społeczeństwo może kształtować i kanalizować nawyki. Palenie rozpowszechniło się naprawdę dopiero od niespełna stu lat. Nie jest więc ono niezbędne dla życia.

L'EXPRESS: Wiadomo, że wczesne wykrywanie raka jest absolutnie konieczne, a zarazem nie można zorganizować akcji wykrywania na wielką skalę. Jak rozwiązać ten dylemat?

Prof. Khoury: Celowość wczesnego wykrywania jest powszechnie uznawana. Jedyny problem polega na znalezieniu środków w tym celu. Środki te są z konieczności ograniczone. I tutaj właśnie lekarze mogą odegrać pierwszorzędną rolę. Przede wszystkim każdy internista powinien przeprowadzać rutynowe badania w celu wykrywania raka. Uporczywy kaszel, chrypka, długotrwałe zaburzenia funkcji trawienia, krwawienie — wszystkie te objawy powinny być sygnałem do przeprowadzenia dokładnych ogólnych badań. Lekarze powinni na co dzień praktykować obmacywanie piersi i badanie odbytnicy, gdyż większość nowotworów odbytu rozwija się na podstawie dobrotliwych z początku polipów, które trzeba wykrywać i leczyć.

L'EXPRESS: Jakie są dzisiaj najbardziej obiecujące perspektywy w dziedzinie badań nad rakiem i jakich złudzeń należy się najbardziej wystrzegać?

Prof. Khoury: Najbardziej należy się wystrzegać złudzenia, że już

wkrótce będzie wynaleziony cudowny i uniwersalny sposób leczenia raka.

Prof. Jasmin: Są nadzieje długofalowe, średniofalowe i nadzieje doraźne. Jeśli idzie o te ostatnie, można w pewnym sensie liczyć na zastosowanie nowej chemioterapii, mniej toksycznej i bardziej aktywnej. Uczyniono znaczny krok naprzód w dziedzinie leczenia raka, gdy spostrzeżono, że nawet po usunięciu guza lub wysterylizowaniu przez napromieniowanie, trzeba jeszcze leczyć chemioterapią cały organizm, aby nie dopuścić do przerzutów. Im wcześniej się interweniuje, tym większe są szanse zmiany ewolucji choroby. Zrozumieliśmy wreszcie, dlaczego w niektórych przypadkach leczenie daje rezultaty, a w innych nie. Nie dysponujemy bowiem w tych innych przypadkach żadnym bardzo aktywnym lekiem, który zapewniłby całkowite wyzdrowienie. Mamy jednak nadzieję, że do tego dojdziemy.

L'EXPRESS: Jak panowie widzą dalszą przyszłość onkologii?

Prof. Jasmin: Nadzieje w tej dziedzinie stwarza genetyka molekularna. Wiadomo, że wykorzystuje się wirusy rakotwórcze, aby zbadać, za pomocą jakiego mechanizmu dokładna informacja genetyczna może spowodować transformację komórki czyli ewentualny początek raka. Jesteśmy w trakcie ustalania, że zwykła zmiana proteiny może być pierwszym etapem, pierwszym krokiem do stanu rakowego. Znaleźliśmy koniec nici Ariadny — trzeba jeszcze przejść cały labirynt.

L'EXPRESS: Inaczej mówiąc, kluczem do problemu mogą być badania podstawowe?

Prof. Jasmin: Tak, jeśli idzie o postęp w skali światowej. Można jednak się spodziewać lokalnych, ale znacznych postępów w dziedzinie badań pragmatycznych.

L'EXPRESS: Wiadomo, iż niektórzy chorzy na raka nigdy nie zasięgają porady onkologów. Czy lekarz internista może sam leczyć raka?

Prof. Khoury: Żaden lekarz, czy to internista, czy onkolog, nie może sam leczyć chorego na raka. Jeśli tak się jeszcze dzieje, to dlatego, że lekarze nie przyswoili sobie dostatecznie nawyku konsultowania się, co jest godne pożałowania. Internista ma oczywiście ważną rolę do odegrania w tej dziedzinie. Jeśli jest on zdolny pokierować leczeniem i interweniować w trybie pilnym, aby zmienić terapię, nie potrzeba umieszczać chorego w szpitalu specjalistycznym.

L'EXPRESS: Czy lekarze nie powinni starać się osiągnąć pewien postęp pod względem psychologicznego podejścia do sprawy raka?

Prof. Jasmin: W tej dziedzinie odpowiednie przygotowanie ma szczególne znaczenie. Odnoszę wrażenie, że wielu lekarzy unika powiedzenia prawdy pacjentowi, aby w ten sposób uciec od myśli że oni sami mogliby kiedyś zachorować.

L'EXPRESS: Chorzy są niekiedy zdezorientowani z powodu różnic zdań między samymi onkologami w kwestii terapii, jaką należy stosować. Czy są różne sposoby leczenia raka?

Prof. Khoury: Lekarze mogą się spierać w kwestii dwóch metod terapeutycznych, które dają pacjentowi równe szanse i zależą od psychologii lekarza, a także od psychologii chorego. To nie pociąga za sobą konsekwencji. Prawdziwy problem powstaje wtedy, gdy istnieją dwa odmienne sposoby leczenia, co do których nie ma jednomyślności i nie wiadomo, czy są jednakowo skuteczne. Taki problem powstał niedawno w kwestii raka piersi. Taki konflikt istnieje, ale w niewielu przypadkach — w przypadku małych guzów, o średnicy 3 centymetrów, które wykrywa się obecnie wcześnie, dzięki nowym metodom wykrywania, i które stanowią 10 procent przypadków. Tutaj możliwe są dwa rozwiązania: albo odjęcie piersi, aby zapewnić największe szanse przeżycia, skoro guz został wykryty w początkowym stadium swego rozwoju, albo też leczenie metodą zachowawczą, nie zmniejszając szans przeżycia. Kto ma rację? Wydaje się obecnie — jakkolwiek nie można tego twierdzić na pewno — że w niektórych nielicznych przypadkach można wyciąć guz, zachowując pierś i nie naruszając szans przeżycia. Ale w 90 procentach przypadków leczenie jest wszędzie jednakowe.

L'EXPRESS: Czy jest to jedyny przykład?

Prof. Khoury: Tak jest również w przypadku prostaty, która często występuje w wieku 70 lat i której rozwój jest bardzo powolny. Gdy się ją wykrywa we wczesnym stadium, w 60 proc. przypadków chory umrze na co innego. Niezależnie od tego, czy będzie się leczyć prostatę kastracją naświetlaniami czy hormonami, nie odbije się to w sposób fatalny na losie chorego. Na decyzję mogą wpłynąć natomiast inne czynniki, jak np. wiek, inne choroby pacjenta lub chęć kontynuowania współżycia seksualnego.

L'EXPRESS: Czy wyklucza pan konflikty z powodu ignorancji?

Prof. Khoury: To już nie są konflikty, lecz poważne błędy. Jednakże ignorancja chorego jest często bardziej niebezpieczna niż ignorancja lekarza. Jeśli np. lekarz konstatuje zapalenie jąder, które jest w rzeczywistości rakiem, opóźnia tylko o kilka tygodni interwencję specjalisty, co nie jest tragedią. Jeśli natomiast ktoś czuje w jądrach rozwijający się guz i nic nie robi, to już gorsza sprawa.

L'EXPRESS: Chorzy często zwracają się do znachorów zamiast do lekarzy:

Prof. Khoury: Tutaj trzeba sobie powiedzieć wyraźnie: gdyby znachorzy znali sposób leczenia raka, wiedzielibyśmy o tym. Nic naprawdę skutecznego nie może ujść uwadze laboratoriów farmaceutycznych, które od dawna prowadzą intensywne badania, aby wykryć nowe leki przeciwko rakowi. W Stanach Zjednoczonych nie lekceważy się niczego, nawet dawnych leków prababek. M. in. opracowano sposób stosowania pierwiosnka w leczeniu białaczki. Jednakże w medycynie nie można nikomu wierzyć na słowo. Nawet laureat Nobla musi swe twierdzenia opierać na doświadczeniu naukowym. Nie można aplikować chorym byle czego. Spośród miliona substancji chemicznych, co do których przypuszczano, że mogą być pomocne na raka, przeznaczono na użytek ludzi tylko pięćdziesiąt!

L'EXPRESS: Wybraliście panowie specjalność najtrudniejszą pod względem moralnym, specjalność, w której ponosi się najwięcej klęsk. Co was skłania do trwania przy niej?

Prof. Jasmin: Jest to zawód niewątpliwie bardzo trudny. Trzeba ogromnie dużo z siebie dawać, być zdolnym udźwignąć ciężar lęku przed śmiercią. I to jest straszne. Spędzam wiele czasu z moimi pacjentami i sądzę, że udaje mi się im pomóc, ale czuję też, że się wyczerpuję, tak bardzo jestem pochłonięty ich tragedią.

Prof. Khoury: Zajmuję się onkologią od sześciu lat i codziennie zadaję sobie pytanie, czy będę miał siłę dalej pracować. Czuję, że być może pewnego dnia się załamię. Za każdym razem, gdy jakiś chory umiera, to tak jakby część mojej własnej istoty uległa zniszczeniu. Gdy lekarz opiekuje się pacjentem przez kilka lat, gdy zna jego imię, jego rodzinę, jego osobowość, gdy ten pacjent telefonuje do niego do domu i gdy w końcu dochodzi do tragedii — to spada na lekarza jak grom, to się głęboko przeżywa wewnętrznie. Zacząłem się zajmować onkologią przypadkowo, ale już nie odszedłem od niej, ponieważ w tej dziedzinie badania obejmują wszystkie działania ducha ludzkiego: badania podstawowe lub kliniczne, znajomość mechanizmów życia, filozofia, koncepcja egzystencji — wszystko to zawiera się w onkologii.

L'EXPRESS: Czy można być onkologiem bez nadziei?

Prof. Jasmin: Nie, to absolutnie nie możliwe. Czy można być księdzem nie wierząc w zbawienie? Podoba mi się powiedzenie Andre Gide'a: „Przez wąskie drzwi utopii dochodzi się do dobroczynnej rzeczywistości". Skoro nie można osiągnąć najlepszego ze światów, uczyńmy ten świat lepszym.

Prof. Khoury: Wobec ogromu zadań pokrzepieniem jest dla mnie przekonanie, że w tej dziedzinie, jak i w innych, indywidualny wysiłek nie jest nigdy daremny, nawet jeśli się wydaje ograniczony. Przekonanie, że rak jest nieodwracalnym przekleństwem nie usprawiedliwia braku działania. Każdy z nas powinien starać się zmniejszać niebezpieczeństwo tej choroby.

DROGOWSKAZY

Obecnie w naszej ankiecie zabiera głos prof. dr Mieczysław Subotowicz, kierownik zakładu fizyki doświadczalnej Instytutu Fizyki UMCS, członek - korespondent Międzynarodowej Akademii Astronautycznej w Paryżu.

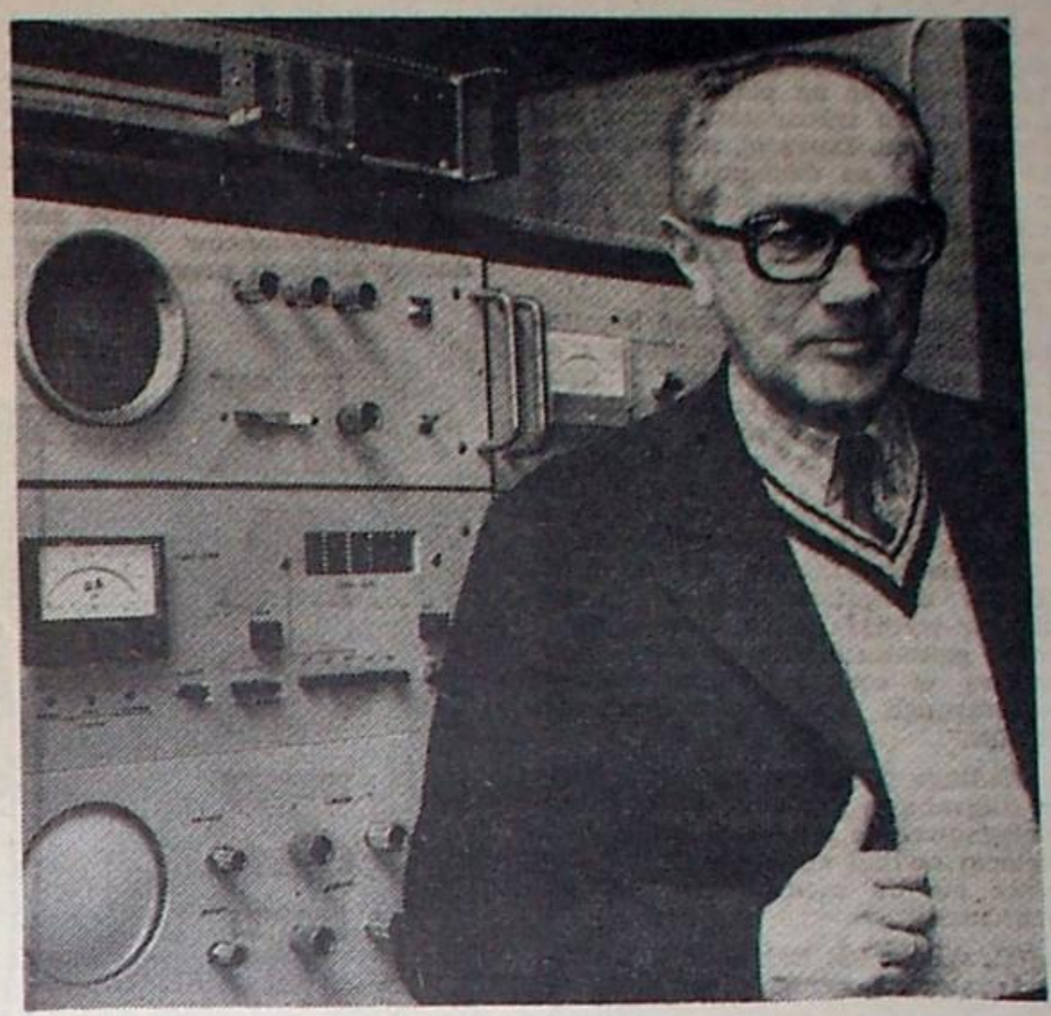

MIECZYSŁAW SUBOTOWICZ

O TYM, że będę fizykiem, wiedziałem już w pierwszej klasie gimnazjum. Dalsze lata w szkole umacniały mnie w tym postanowieniu. Były to racje poznawcze, społeczne i — rzekłbym — ambicjonalne. Fizyka wydała mi się wtedy najciekawszym, najlepszym i najskuteczniejszym sposobem poznawania przyrody. Do dziś określam moją postawę filozoficzną — nieco przekornie — monizmem fizykalnym. Fizyka jest uniwersalną nauką przyrodniczą. W moim przekonaniu bowiem nauki przyrodnicze dadzą się albo sprowadzić do fizyki, albo są, czy muszą stać się jej przedłużeniem. Fizyka jest też nauką podstawową i encyklopedyczną dla całej techniki. Oczywiście, nie da się opisać metodami nauk przyrodniczych całego bogactwa ludzkiego życia, jak problematyki etyczno-moralnej, estetycznej, sztuki, literatury i muzyki, religii czy mitologii, życia emocjonalnego i wielu faktów życia psychicznego, słowem — wielu elementów pozaracjonalnych w życiu człowieka.

Fizycy uważają, że metoda ich postępowania naukowego jest poprawna, metoda, polegająca na nieustannej korekcji własnych twierdzeń, ich weryfikacji teoretycznej i doświadczalnej, gotowa zawsze do przyjęcia nowych prawd, gdyż istniejące nie są uważane za ostateczne: fizyka więc jest chyba... procesem poznawania o określonych regułach postępowania. Fizyka nie jest nauką zamkniętą i skończoną, chociaż stanowi klucz do całego przyrodoznawstwa: od cząstek elementarnych aż do kosmologii wszechświata, poprzez fizykę jądrową, atomową, cząsteczkową, chemię, biologię molekularną, fizjologię ustrojów żywych do człowieka włącznie, medycynę, inżynierię genetyczną, aż do elementów psychologii — całą przyrodę poznajemy teoretycznymi i doświadczalnymi metodami fizyki. Przez swą uniwersalność jest dyscypliną niezmiernie ciekawą.

Motywy społeczne mojego wyboru fizyki jako specjalności wiązały się z istniejącą nierównością w szansach korzystania z dóbr materialnych, cywilizacyjnych i kulturalnych. W moim ówczesnym przekonaniu, wyrastającym częściowo z lektury społeczno-politycznej, częściowo zaś — literatury pozytywistycznej, niesprawiedliwość społeczną da się usunąć w mniejszym stopniu przez organizację podziału tych dóbr, a raczej przez obfitość produkcji dóbr konsumpcyjnych, co może zapewnić jedynie nauka z techniką. Jeśli tak, to tym bardziej — myślałem — warto zająć się fizyką. Do dziś to przekonanie nie zostało zachwiane, a rzeczywistość społeczna stale je potwierdza.

Fizyka jest trudna. I to było trzecim motywem zajęcia się tą nauką. Uprawiając ją, znajdujemy sposób życia, który wymaga maksymalnej koncentracji, pracy i zaangażowania zdolności. Warto było zająć się dyscypliną, będącą wielką przygodą intelektualną, której całościowe zadania zawsze będą przerastać zdolności pojedynczego człowieka. Można w niej się sprawdzać, nawet ponosząc klęski. Mógłbym zatem powiedzieć, że sprawdziły się trzy wymienione wyżej racje, dla których wybrałem fizykę.

Historia postawiła nasze pokolenia przed wyjątkowo trudnymi i wielkimi zadaniami: zostało ono doświadczone najokrutniejszą z wojen, zdążyło wziąć udział w pokonaniu faszyzmu, odbudowywało świat ze zniszczeń wojennych, rozwinęło naukę i cywilizację na niesłychanie wysoki poziom. Nasze pokolenie zbiera niezmiernie obfite plony z badań nauk przyrodniczych i rozwoju techniki w wieku XIX i w pierwszych 4e latach naszego stulecia. Nauka stała się siłą społeczną. Jakaż radość żyć w tej fascynującej epoce! Za niemal wszystkie te fascynujące osiągnięcia ale i za groźby współczesności odpowiedzialna jest fizyka i jej wykonawcze ramię — technika: elektryczność, energetyka jądrowa, ale i apokalipsa wojny termojądrowej, człowiek na Księżycu, sondy kosmiczne w krańców Układu Słonecznego, ale i rakiety, zdolne dostarczyć bombę wodorową z dokładnością 100—200 m do każdego punktu naszego globu, rozszyfrowanie kodu genetycznego, ale i ponure aspekty inżynierii genetycznej, maszyny matematyczne i automatyzacja przemysłu, gospodarki, administracji oraz kolosalne podniesienie stopy życiowej części ludzkości, ale jednocześnie systematyczne zanieczyszczanie środowiska, eksplozja demograficzna i narastający kryzys surowcowy. Nadchodzący kryzys energetyczny może rozwiązać tylko fizyka, budując elektrownie termojądrowe i (lub) słoneczne elektrownie satelitarne. Dzięki nauce i technice skala ludzkiego działania przekroczyła rozmiary globu ziemskiego i granice Układu Słonecznego... A jednocześnie ludzkość jest nękana coraz straszniejszymi wojnami i pochłaniającymi olbrzymie zasoby, coraz trudniejszymi do udźwignięcia — zbrojeniami.

W tym kontekście wyrasta problem odpowiedzialności, nie tylko moralnej, uczonego za to, co się stało ze stworzonymi przez niego narzędziami. Chyba jednak ani fizyka, ani inne nauki nie zdołają zapobiec narastającym plagom, które z coraz większą siłą zagrażają ludzkości.

W moim przekonaniu winę za taki stan rzeczy ponoszą przestarzałe struktury społeczno-polityczne na Ziemi. Jedynym wyjściem w obecnej sytuacji jest integracja ludzkości w skali planety. Czas najwyższy w tej też skali uczyć ludzi myśleć o sprawach ziemskich.

KASZTAN

Rys. Konrad Kozłowski

Edward Bolec

LUDZIE, którzy zamieszkali w dzielnicy nowych bloków, szybko oswoili się z myślą, że nareszcie są na swoim. W niepamięć radości oddaliły się od nich lata niewygód, starania o długo oczekiwane mieszkanie, a na to miejsce zjawiło się uczucie pewności siebie, wiara we własne siły, dążenie do dalszych sukcesów.

Minęło kilka miesięcy, zbliżała się wiosna, gdy niektórzy z nich spostrzegli, że na placu, wśród domów koloru transparentowego, leżą sterty gruzu. Dawniej, zaabsorbowani gonitwą za dachem nad głową, nigdy by na te rupiecie nie zwrócili uwagi; teraz nie mogli znieść widoku śmietnika wyłaniającego się spod śniegu.

Na jednym więc z zebrań komitetu dzielnicowego postanowiono z okazji zbliżającej się rocznicy uporządkować plac w czynie społecznym. Obecni na naradzie działacze Ligi Ochrony Przyrody zaproponowali ponadto, by mieszkańcy każdego budynku posadzili po jednym młodym drzewku. Wniosek spodobał się i został przyjęty jednogłośnie. Między delegatami poszczególnych bloków wynikła tylko różnica zdań co do gatunku drzew, oddano zatem sprawę w ręce lokatorów, którzy rozstrzygnęli problem większością głosów.

Niedługo potem na placu sterczały filigranowe drzewka. Mieszkańcy pielęgnowali je starannie, podlewali, jesienią owijali słomą, żeby nie dobrały się do nich zające, wiosną przycinali.

Patrząc na ich codzienną i żmudną krzątaninę, doznawało się radosnego wrażenia, że choć wszystkim zależy na tym, by ich drzewo było największe i najpiękniejsze, to równocześnie nikt nie zapomina o harmonijnej urodzie całego parku.

Z tych też powodów z początku nie wzbudził podejrzeń fakt, że jedno z drzew — kasztan — rośnie szybciej niż pozostałe. Przeciwnie, wspinający się błyskawicznie w górę fenomen natury wywołał ogromne zainteresowanie i sympatię. W maju, gdy pachniał na całą dzielnicę, przychodziły oglądać go dzieci z przedszkola; harcerze pasjonujący się przyrodoznawstwem i ochroną naturalnego środowiska człowieka wyznaczali sobie obok niego zbiórki, a w każde słoneczne popołudnie spotykali się pod nim działacze Ligi Ochrony Przyrody. Ukradkiem przyglądali mu się także zazdrośni lokatorzy innych bloków, ale tych nie było zbyt wielu. Niekiedy odwiedzały kasztan również wycieczki z okolicy.

Od czasu do czasu słyszało się jednak w dzielnicy głosy, że tak szybki wzrost kasztana to niezbyt czysta sprawa. Zarzucano jego opiekunom stosowanie środków chemicznych zabronionych w uprawie drzew z powodu ich jakoby ujemnego wpływu na środowisko biologiczne. Mało kto wszakże wierzył w te plotki, a zresztą ludzie, pochłonięci jak zwykle wychowywaniem dzieci, malowaniem mieszkań, kupowaniem nowych mebli, czy wreszcie zarabianiem pieniędzy, i tak nie zwracali na nie szczególnej uwagi. Tylko renciści i emeryci zagadywali systematycznie na ten temat, obserwując z rezerwą fenomenalne drzewo.

Znów minęło kilka lat. Informacja ta w przypadku każdego innego drzewa nie miałaby żadnego znaczenia i na pewno nie znalazłaby się w tym tekście. Wiadomo, chociażby ze szkolnej nauki przyrody, że wszystkie drzewa rozwijają się raczej wolno, stąd stosunkowo drobne zmiany, które w tym czasie kasztan powinien był przejść, nie byłyby godne aż odnotowania.

Stało się inaczej. Kasztan, wykorzystując sprzyjający klimat, rozrastał się i wkrótce zdublował swych sąsiadów. Prezentował się teraz rzeczywiście imponująco, zwłaszcza gdy łagodny wiatr poruszał jego niezliczone liście. Rozlegał się przy tym tak przejmujący szelest, że ludzie zatrzymywali się wpół kroku.

Nie da się jednak pominąć faktu, iż u coraz większej liczby osób oprócz zachwytu zjawiało się równocześnie uczucie zaskoczenia, a nawet zaniepokojenia. Bo oto lokatorzy bloków, których drzewa stanęły w miejscu i zaczynały usychać, zauważyli, że jest to winą kasztana, zasłaniającego im słońce. Jeszcze inni skarżyli się, że konary wybijają szyby w oknach, administracja zaś ostrożnie informowała Ligę Ochrony Przyrody, że korzenie niszczą podziemne instalacje elektryczne i kanalizacyjne. Na domiar złego wrony gnieżdżące się w koronie drzewa paskudziły plac, a nieustanne krakanie i unoszący się dookoła nieprzyjemny zapach nie pozwalały ludziom pracy wypocząć.

Z dnia na dzień wśród znacznej części mieszkańców dzielnicy niedawny zachwyt przechodził w narastające niezadowolenie. Zastanawiano się co mogło spowodować tak zaskakujący wzrost kasztana, tym wnikliwiej, gdy ktoś ogłosił że odkrył metody jakimi to osiągnięto, jego zdaniem oczywiście niedozwolone. A stąd był już tylko krok do rozważań niemal filozoficznych nad tym, co właściwie jest ważniejsze: jedno drzewo, wprawdzie ogromne i przyczyniające splendoru miasteczku, czy też te pozostałe, choćby i ledwo utrzymywane przy życiu.

W niedługim czasie liczba potencjalnych zwolenników ścięcia kasztana przewyższała liczbę jego obrońców. Ale do spełnienia woli większości było na razie bardzo daleko. Kasztan — jako drzewo wielce wyrośnięte — cieszył się sympatią obywateli, mających w miasteczku najwięcej do powiedzenia. Należeli do nich głównie hotelarze, restauratorzy, a także właściciele kiosków z pamiątkami, zarabiający nieźle na turystach, również tych z zagranicy, zwabionych miejscową sensacją.

Tymczasem sytuacja w dzielnicy stawała się coraz bardziej krytyczna. Okolicznym domom groziło zniszczenie podziemnych instalacji, do mieszkań pozbawionych słońca wdzierała się wilgoć, niemowlęta zapadały na krzywicę... W każdej chwili mogło też dojść do fizycznej konfrontacji między coraz donośniej protestującą większością przeciwników kasztana, a topniejącą garstką jego obrońców i działaczy Ligi Ochrony Przyrody.

Ci ostatni, nie zważając na to, co się święci, imali się najrozmaitszych sposobów próbując uratować bezcenne dla nich drzewo. Z najbardziej zagrożonych budynków przeniesiono lokatorów do innej dzielnicy. Równocześnie wokół kasztana trzymano warty, aby nie dokonano na niego zamachu, a Liga Ochrony Przyrody uznała go za pomnik natury. W tym samym czasie odbyła się także konferencja naukowa specjalistów, którzy dowiedzieli się wtedy po raz pierwszy, że kasztan, karmiony od lat niedozwolonymi w sadownictwie pożywkami, rozwija się obecnie w tempie znacznie szybszym niż to pierwotnie zakładano, a wszystkie znane metody ograniczenia tego wzrostu, z nieustannym przycinaniem konarów włącznie, zawodzą. Specjaliści zadeklarowali wszechstronną pomoc, po czym rozjechali się do swych zakładów naukowych.

A kasztan nadal pęczniał jak odświętny placek drożdżowy. Po raz drugi trzeba było przesiedlić do pomieszczeń zastępczych pokaźną liczbę lokatorów. Ta decyzja wywołała tak zasadnicze niepokoje wśród obywateli, że postanowiono w obronie kasztana użyć wszelkich dostępnych środków propagandy. Zaraz potem w lokalnej gazecie zaczęły ukazywać się artykuły, sugerujące niedwuznacznie, że dalszy rozwój miasteczka jest nierozerwalnie związany z rozwojem kasztana. „Czy to rozsądne w dobie zagrożenia naturalnego środowiska człowieka unicestwiać tak wspaniały pomnik przyrody?" — pytano, perswadując czytelnikom, że jedno ogromne drzewo produkuje więcej tlenu niż tuzin drzewek małych.

Gwoli ścisłości dodajmy, że znalazł się także lekarz, który twierdził, że to niezdrowo przesiadywać godzinami pod drzewem tego samego gatunku. Wystarczy później tylko przechodzić obok innego, żeby nabawić się dokuczliwej alergii.

Jak się można było spodziewać, w dyskusji ujawnili się ludzie, którzy uważali, że kasztan, choć coraz bardziej uciążliwy dla otoczenia, stanowi prawdopodobnie mniejsze zło niż to, co by mogło nastąpić, gdyby próbowano się kasztana pozbyć. Ich niezdecydowanie wykorzystali jego zwolennicy. Bez większych trudności przeciągnęli wielu na swoją stronę i w ten sposób powstały dwie zwalczające się grupy. Z całego kraju płynęły więc dwa strumienie telegramów i listów: w obronie zagrożonego drzewa i z protestami przeciw jego hegemonii, a w ślad za ożywioną korespondencją dziesiątki autokarów zwożących przedstawicieli społeczeństwa, którzy manifestowali poparcie bądź upierali się przy dyskryminacji kasztana.

Całą tą historią zainteresowali się żądni sensacji dziennikarze prasy zagranicznej. Z tytułowych kolumn gazet wielu krajów krzyczały do czytelników sensacyjnie brzmiące tytuły ostatnich korespondencji: „Kasztan w niebezpieczeństwie", „Czyżby koniec hegemonii wiecznego drzewa?", „Komu służy nagonka na kasztan", „Czy kasztan upadnie?", „Szansa dla drzew innych?" itp.

W ciągu trzech dni przybyły do miasteczka dziesiątki tysięcy osób. Na ulicach, chodnikach i placach stanęły namioty turystyczne, kuchnie polowe, prowizoryczne latryny. Zmieniający się mówcy perorowali wobec tłumów, dlaczego kasztan jest niezastąpiony, albo odrażający.

Polemiki nie trwały jednak długo. Doszło do pierwszych starć między ortodoksyjnymi członkami obu ugrupowań. Ludzie oderwani od domów, żon, mężów, dzieci, pragnęli już wracać, dążyli więc do jak najszybszego rozstrzygnięcia sporu.

I wydawało się, że istotnie w tej sytuacji nikt i nic nie zdoła już przeszkodzić zbliżającej się nieuchronnie tragedii, tym bardziej, iż wysiłki naukowców nie dały wyników — wzrostu kasztana nie ograniczono — a jego zwolennicy nadal nie zamierzali ustąpić, gdy nastąpiły wydarzenia, których nie przewidział żaden z obserwatorów.

Tak opisał je w swej relacji jeden z zagranicznych korespondentów:

Ze wszystkich stron placu nacierały na siebie grupy zacietrzewionych do ostateczności ludzi. Poszturchiwano się rękami, obrzucano kamieniami, wygrażano sobie. W słoneczne tego dnia niebo unosiły się tumany kurzu, okrzyki zachęcające do walki, przekleństwa; stada spłoszonych wron krążyły nad kasztanem bojąc się na nim usiąść. Czekałem na najgorsze.

Nagle zrobiło się zupełnie czarno. Ciemność trwała jednak nie dłużej niż sekundę, by natychmiast rozjaśnić błyskawicami na horyzoncie duchów. Równocześnie rozległ się ogłuszający i narastający łoskot, zbliżający się szybko do placu. Zastygli w bezruchu na moment ludzie rzucili się do ucieczki. Po kilku następnych sekundach kasztan został sam. Z napływających, nie wiadomo skąd, chmur lunął deszcz, coraz gwałtowniejsze stawały się podmuchy wiatru. Przywarłem całym ciałem do mizernej osiki. Jeszcze mocniej pociemniało, deszcz zamienił się w strugi wody, a wiatr przeszedł w huragan.

Kasztan, który z początku trzymał się jako tako, zadrżał z wysiłku i zaczął trzeszczeć. Działy się z nim jakieś dziwne rzeczy. Trząsł się, jakby dostał febry. I powoli, lecz nieprzerwanie przechylał się na jedną stronę, na szczęście nie na moją. Widziałem w świetle błyskawic, jak przez chwilę walczył jeszcze z rozszalałym wiatrem, ale był bez szans. W pewnej chwili usłyszałem przeraźliwy trzask i olbrzym runął.

Ludzie, przerażeni gigantycznym hukiem walącego się drzewa, wybiegli z domów. To, co później nastąpiło, wprawiło mnie w osłupienie. Otóż część członków Ligi Ochrony Przyrody zaczęła się ściskać i tańczyć dookoła leżącego. Coraz to inni ludzie przyłączali się do wiwatujących. Niewielu pozostało na uboczu.

Wiadomość o generalnej klapie świętego drzewa przyjęto spokojnie. Naoczni świadkowie opowiadali, jak to z kasztanem było. Specjalna komisja powołana do zbadania przyczyn upadku drzewa stwierdziła, że huragan wywołała nieoczekiwana erupcja pozornie tylko wygasłego w górach wulkanu. Przekonano się także, iż wywrócenie kasztana ułatwiło zbutwienie jego przerośniętych korzeni które wysiały z okolicznej gleby wszystkie niezbędne do dalszej wegetacji drzewa sole mineralne. Przerost korzeni, a co za tym idzie, całego drzewa, spowodowała nadmierna dawka jakichś niedozwolonych środków chemicznych.

Tyle zanotował korespondent zagraniczny. Uzupełniając jego relację, warto dodać, że pozostałe drzewa oparły się naporowi huraganu i rosną do tej pory. Nie są co prawda tak duże jak kasztan kiedyś, ale też nie są jednakowej wielkości. Być może, ludzie, którzy je posadzili, wspólnie dbają obecnie o to, by każde z nich rozwijało się zgodnie ze swym cyklem biologicznym.

O kasztanie mało kto dziś pamięta, jedynie mieszkańcy tamtej dzielnicy oraz właściciele restauracji, hoteli i kiosków z pamiątkami, bo turyści od dawna nie zaglądają już do tego miasteczka. Może także dzieci, które straciły najwięcej, ponieważ nie mają z czego robić pajacyków oraz przestały się uczyć, bo skąd mogą teraz wiedzieć, kiedy kwitną kasztany.

Kamena str. 6

CZY SPŁONĄŁ MILION?

Bronisław Kowalski

CISZA panująca wewnątrz i wokół gmachu przemyskiego seminarium duchownego, odgradzająca go od świata doczesnych interesów, potęgowała przypuszczenia co do żelaznych regul, nie dopuszczających przybyszów z zewnątrz. Po pięciu minutach daremnego oczekiwania u drzwi sądziłem, że odejdę z kwitkiem. Już wyobrażałem sobie mroczne korytarze budynku, pełne wzniosłej obojętności, nieprzenikliwej i gęstej, i grzęznące w nich echa stukania do wrót, ale nim upłynęło następne pięć minut, łańcuch zgrzytnął i zostało mi otworzone. Prozaicznie okazało się, że Jan Jandziś, portier, targał z piwnicy wiadro węgla do swego pieca i nie miał sposobności wcześniej drzwi uchylić.

Seminarium, będące duchownym, nie ma szczęścia do materii okolicy w której leży, choć jest to podnóże zamkowej góry, z biegnącą spodem ulicą Królowej Jadwigi. Letnimi wieczorami przejść tamtędy nie można, bo dzieją się orgie. Wprawdzie Jandziś nie interesuje się nimi, bo ma swoje „załatwienie" — w piecu pali i wpuszcza jako portier, ale nieraz ciepłą porą widywał tych pijaków, co tam mają zlot. Upajają dziewczęta, wyprowadzają w krzaki i tam hece wyprawiają. Szczęściem w gmachu od strony ulicy imienia zacnej królowej i od krzaczastego stoku zrobiono bibliotekę, a nie pokoje kleryków. A nocą już tylko Jandziś o dziesiątej wychodzi do furtki żeby ją zamknąć. Dzięki temu szesnastego stycznia zobaczył pożar na zamku. Z okien południowej baszty szły płomienie i iskry. I w ten sposób stał się pierwszym świadkiem wydarzeń, które poruszyły nie tylko całym Przemyślem, ale i rozeszły się po kraju sensacyjnymi wieściami i plotkami. I to on wezwał straż, która przybyła za pięć minut pod płonący zabytkowy zamek, postawiony za Kazimierza Wielkiego, albo jeszcze wcześniej.

Gdy czerwone wozy pędziły do gaszenia, dyżurny strażak przez telefon już dawał alarm prezydentowi miasta wprost do domu. W dwa tygodnie po tamtej styczniowej nocy mógł prezydent Przemyśla, Andrzej Wojciechowski, beztrosko oznajmić: „Nie było żadnej afery i nie ma", ale w tamtą noc, nie wysuszywszy umytych w kąpieli włosów, ubrał się, wcisnął na głowę futrzaną czapę i ruszył własnym autem pod zamek. Nie można oddać ówczesnych myśli prezydenta, gdyż biegły one od siarczystej „cholery" po wizje czarniejsze niż nocny mrok. No, bo z jednej strony już się zaczęły ustalenia o podjęciu rewaloryzacji miasta tak wielkiej, jak krakowska czy zamojska, a z drugiej płonął akurat najcenniejszy zabytek, remontowany od dziesięciu lat, który tejże rewaloryzacji ma być za trzy lata pierwszą jaskółką.

— Ten remont? O Matko Boża — jęknął Jandziś na wspomnienie. — Tak przyjść, się przyglądnąć jak, co robią, to strach. Nie widać tej roboty. A co do pożaru to strażacy na początku powiedzieli, że się spaliło za trzy miliony.

Po pożarze prasa codzienna i telewizja ogłosiły, że ogień strawił część cennych księgozbiorów, wśród których znajdowało się wiele „białych kruków", zabytkowe rękopisy scenariuszy, scenopisy i partytury, dekoracje i wreszcie meble ponoć z XVIII wieku. Wszystko to było własnością najstarszego w Europie amatorskiego teatru „Fredreum". Miał on swoje archiwum w południowej baszcie zamku, gdzie wybuchł pożar. Podano też wartość strat — cztery miliony złotych.

A ledwie dwa tygodnie wcześniej zakończyły się uroczyste obchody jubileuszu 110-lecia istnienia Towarzystwa Dramatycznego im. Aleksandra Fredry „Fredreum" w Przemyślu.

Ponad wiek działania to już jest historia osobna. Teatr założony przez Polaków, żeby polskość utrzymać; powstały, by z jego sceny słyszeć narodowy język i przypominać literaturę, tradycję, obyczaje; teatr, który oznaczał przetrwanie mimo zaborów; był rok 1869, kiedy powstawał, a wówczas oznaczało to nie tylko artystyczną działalność. I nigdy nie przeistoczył się z amatorskiego w zawodowy. Zamierała aktywność „fredrowców" i odradzała się przez owe lata. Na początku wieku Towarzystwo zamarło, niszczone wewnętrznymi intrygami, odrodziło się przed I wojną, a na jej czas znów przygasło. Po wyzwoleniu rozkwitło, by w 1939 r. ponieść dotkliwe straty — spłonął dobytek w baszcie zamkowej, rozpierzchli się ludzie. Ale tylko dwa miesiące po oswobodzeniu Przemyśla zbierano siły i już w październiku 1944 r. zaczęto działalność — po pewnym czasie znów na zamku. W setkach liczą się premiery i przedstawienia; pokolenia wielu rodzin występowały na tej scenie. Lecz dziesięć lat temu „Fredreum" opuścić musiało siedzibę zamkową, gdyż rozpoczęto ślimaczącą się do dziś restaurację budowli.

Jak rozszyfrować, co oznacza „Fredreum" w życiu miasta? Atmosfera wokół teatru przypomina tajemnicę, jaka otacza postacie z literatury: nie do końca opisane, zawsze pozwalające na wielokrotne ich wyobrażenie, żywe inaczej co pokolenie, choć przecież nieodmiennie jednakowe w podstawowej materii. Szacowny to jubilat, który wznieca aktualne spory, plotki, tworzy frakcje za i przeciw sobie. Ale też żywy współczesny element codzienności, nad którego historią się debatuje, ocenia przeszłość, przypomina dawne sławy aktorskie. W opiniach mieszkańców — od uwielbienia talentów do zażenowania, czy dziś jeszcze wypada chwalić amatorszczyznę — czasem jedno i drugie w jednym zdaniu. W opiniach władz miasta — od zgrzytania zębami nad piątym kołem u wozu miejskiej kultury, do serdeczności i sympatii. W opiniach samych „fredrowców" — od „kochajmy się" i dumy, do zawiści i rozdziałów. Trzeba znać Przemyśl, by uwierzyć, że tu coś, co ma 110 lat z każdym rokiem staje się żywsze. Właśnie dlatego, że przybywa mu historii.

Wstępując na drogi, prowadzące do „Fredreum", wchodzi się nie tylko na dobrze oznaczony szlak udziału w kulturze narodowej i jej tworzenia, ale również na biegnące równolegle ścieżki osobistych tajemnic, rodem z masonerii, klanu, sprzysiężenia. Gdy zacząłem pytać o pożar w baszcie w niespełna dwa tygodnie po wydarzeniu, natrafiłem na mur niedopowiedzeń. Niby już wszystko było wyjaśnione, gdyż ujęto sprawców pożaru — czterech chłopców żądnych przygód w baszcie — ale tajemnice krążyły. W końcu zapytałem prezesa Towarzystwa, Bronisława Rogalskiego, wprost, co myśli o opiniach, że „fredrowskie" archiwum podpalono wcale nie tak przypadkowo. Prezes, adwokat z zawodu, popatrzył przenikliwie ciemnymi oczyma i idealnie naśladując Woszczerowicza mimiką twarzy i zawieszaniem głosu (prezes nie grywa na scenie, ale Woszczerowicz prywatnie wychodzi mu kapitalnie, również sylwetką jest doń podobny), powiedział:

— No, wie pan, ja tego nie powiem, a panu nie pozwolą napisać — uff, wionęło tajemnicą okrutnie, w jednej odpowiedzi tyle niedopowiedzeń.

Nie wymyśliłem sobie tego pytania dla sensacji. Taką możliwość podsunął mi jeden z aktorów, wspominając, że wiele z cennych archiwaliów z baszty nie w niej się znajdowało, gdy ogień trawił szafy, lecz w prywatnych mieszkaniach niektórych „fredrowców". Powiedział, że sam by wziął gdyby wiedział, że wybuchnie pożar, pięknie rzeźbiony w ptaki i kwiaty kredens, oglądany w baszcie kilka lat temu. Ale czy zachwycający mebel pozostał do 16 stycznia nie wiadomo. Tak, jak nie wiadomo dokładnie, co znajdowało się w baszcie, co mogło spłonąć zapomniane, co zniszczyła woda, co wyrzucili strażacy w błoto i w śnieg. Ostatnią inwentaryzację pamięta się z początków lat pięćdziesiątych, a i to czynioną nie z natury, lecz z dawnych ksiąg inwentarzowych. Nic zatem dziwnego, że poszła w kraj plotka o zniszczeniu bezcennego rękopisu Aleksandra Fredry. I to było pytanie: którego? jakiej sztuki?

— Rękopisy Fredry? — zdumiał się prezes zdumieniem Woszczerowicza. — Wszystkie autografy Fredry są zabezpieczone przez państwo. Może to były jakieś odpisane ręcznie egzemplarze sztuk. Kiedyś przecież nie było maszyn do pisania. Pan sobie wyobraża? Gdybyśmy mieli rękopis Fredry, to byśmy się nie musieli nikomu kłaniać.

O ukłony idzie najbardziej. Poszukiwania spalonego (?) rękopisu doprowadziły mnie na ścieżkę ścierania się ambicji w ukłonach — wojenną ścieżkę, na której hasłem jest: kto komu? Oczywiście — ma się kłaniać. „Fredreum" nie chce się kłaniać ojcom miasta, ani organizatorom kultury z urzędu. Ma po temu powody, gdyż powrót na odremontowany zamek nie następuje od wielu lat, pomimo obietnic, a nawet konkretnych terminów zakończenia prac archeologicznych i budowlanych. „Fredreum" nie otrzymało w zamian odpowiedniego lokalu dla siebie — gościnnie korzysta ze sceny WDK, a próby odbywają się w prywatnych mieszkaniach. Teatr ma kilka pomieszczeń w różnych okolicach miasta, gdzie składa dekoracje i kostiumy, ale żadnego porządnego. Środki, którymi dysponuje, prezes nazywa „nawet nie ćwierćśrodkami".

Prezydent Wojciechowski oznajmił:

— Nie będziemy już więcej mówili o terminach oddania sceny w zamku, po prostu dotrzymamy ostatnio wyznaczonego na 1983 rok. Jeśli przedtem obiecywano im z roku na rok, że wejdą do zamku, to wcale im się nie dziwię, że nie wierzą i w ten termin, ale my go twardo dotrzymamy.

A prezes Rogalski istotnie nie wierzy i przypomina niedawną niespełnioną obietnicę prezydenta o pomieszczeniu na stolarkę. I tak wkoło.

No, ale co spłonęło na zamku? Pomyślałem, że może wiedzą w Wydziale Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego.

— Spóźnił się pan — zadrwił dyrektor Michał Krupiński — już sprawa została wyjaśniona. Straty są żadne, spaliły się zniszczone rekwizyty i szpargały do niczego niepotrzebne.

Samo „Fredreum" dyrektor uważa za dziwne. Ma doń przychylny stosunek, ale twierdzi, że w tej chwili stanęło. Prezes natomiast twierdził, że Towarzystwo idzie w górę: dwie premiery w ubiegłym roku, maraton przedstawień w ciągu obchodów jubileuszu; teatr może, według słów prezesa, w każdej chwili dysponować pięćdziesięcioma i większą liczbą aktorów...

— Ja się będę krytycznie wyrażał — mówił dyrektor — wolno mi. Oni nie dopuszczają do siebie nowych propozycji. A chcemy im dać reżysera zawodowego, nie na etat, ale żeby ich zajął sprawami odczytywania prawdziwej zawartości myślowej tekstów. „Fredreum" zaś doszło do takiej potęgi, że myślą, iż są pępkiem świata. Nie chcą pomocy, a potem trafiają się takie widowiska, że żal patrzeć.

— O których pan myśli? — zaproponowałem konkretny przykład.

— Ja nie widziałem żadnego — wyznał dyrektor — ale wiem, wiem o tym. Uważam, że „Fredreum" powinno zostać w takiej formie w jakiej jest, ale powinno się uczyć.

A w chwilę potem poszedł na szczerość:

— Oni uważają, że ich, nie wiem, chcą rozwiązać, czy co? Byłoby lepiej, gdyby ich nie było, może? Ale dobrze, że są. Lecz trzeba skończyć z zacofaniem i zająć się robotą. Ja myślę, czy ktoś specjalnie nie podpalił, żeby szumu narobić? Ale nie będę snuł domysłów. A w ogóle to mam dosyć rozmów o „Fredreum", chciałbym porozmawiać o zabytkach, a pan znów nasmaruje o nich.

— To co, nie pisać?

— Pisać, ale...

— Jak?

— Tak, jak trzeba.

— A jak trzeba?

— Żeby było dobrze.

— A po cóż ich uczyć na siłę? Może cały urok w tym, jacy są, czasem nieporadni, ale autentyczni? — dociekałem.

— Minęły te czasy, gdy się amatorszczyzna szerzyła. Ja mam jeszcze inne koncepcje, żeby podnieść ich poziom artystyczny: dobór repertuaru.

— Co się pan tak uparł na ich naprawianie?

— Bo uważam, że nie zawsze amator musi być dyletantem.

— No to skąd mają publiczność?

— Na bezrybiu i rak ryba. Skoro ja się nie doczekałem przez pół roku odkąd jestem dyrektorem na ich propozycje, to sam się zwrócę do nich. Ale ich propozycja jest jedna — zrobić szybciej remont na zamku.

I dalej nie wiedziałem, co spłonęło w baszcie.

Człowiekiem, który robił w 1934 r. ostatnią inwentaryzację majątku teatralnego jest autor monografii o „Fredreum", Zygmunt Felczyński. Historyk, siwowłosy, mimo wieku energiczny nad podziw, żywo opowiadał, jak to dziś byle stół z powykręcanymi nogami bierze się za mebel z epoki króla Ludwika.

— Plotka, bujda o rękopisach i meblach z XVIII wieku — mówił. — Ja pamiętam, że kiedyś aptekarz Bojarski podarował teatrowi pas lity. Ale przecież baszta spłonęła durch, od góry do dołu w 1939 r. Był tam jeden oryginalny kostium krakowski. Resztę szyli współcześni krawcy, a meble robili przemyscy stolarze. Strata jest, że spaliła się biblioteka, którą „Fredreum" kupiło kiedyś od wędrownego teatru. Tam może były sztuki, których już w całym kraju nie ma. Ale że teatr nie miał porządnego magazynu, to przecież ktoś musi być winien. A winne są wszystkie kolejne władze Przemyśla. Co, przez 20 lat nie wiedziano, co się dzieje w baszcie?

Na koniec przemyski historyk opowiedział dziwny fakt. Otóż po pożarze przybył doń inspektor z Ministerstwa Kultury i Sztuki i pytał, czy faktycznie spłonął rękopis „Męża i żony" A. Fredry. A więc jednak pytano o jakiś konkretny rękopis.

— O, gdybyśmy go mieli. To warte milion złotych. Ale równie dobrze można zapytać o rękopis „Zemsty" — zaśmiał się pan Felczyński.

Jest zrozumiałe, że nikomu nie zależy — ani władzom miasta, ani „fredrowcom" — by mówiono, iż spłonął rękopis wart milion lub więcej. Ale kto wie naprawdę, jakiej wartości ogień gasili w zimową noc strażacy w baszcie przemyskiego zamku?

Scena z przedstawienia „Szwejk w Przemyślu" Jana Różańskiego, w wykonaniu aktorów „Fredreum"

SREBRO W KAZIMIERZU

Mirosław Derecki

W księdze pamiątkowej Muzeum Sztuki Złotniczej, otwartego 22 grudnia ub.r. w Kazimierzu Dolnym, pani Anna Bentkowska z Warszawy napisała: W czasach, gdy wszyscy tak bardzo pragną „mieć" — jakże godny wzruszenia jest gest tego, kto oddał — dając innym tak wiele. Chodzi oczywiście o osobę Jędrzeja Jaworskiego, człowieka, któremu muzeum złotnictwa zawdzięcza swoje istnienie.

SPRAWA powstania tej niezwyczajnej, jedynej w swoim rodzaju placówki muzealnej w Polsce wynikła właściwie z przypadku. Kierownictwo Muzeum Kazimierza Dolnego, snując plany rozwoju, zamierzało skupić się nad ukazaniem historii miasta, dorobku jego kultury i sztuki, roli Wisły w jego rozwoju gospodarczym i przestrzennym, pokazaniem osobliwości przyrodniczych. *Mieliśmy także ambicje* — pisze Jerzy Żurawski, dyrektor Muzeum Kazimierza Dolnego, we wstępie do katalogu „Pierwszej wystawy w Muzeum Sztuki Złotniczej" — *ocalić od zapomnienia ślady działalności w Kazimierzu wybitnych twórców i pisarzy, poetów, malarzy, architektów, działaczy społecznych i politycznych, gromadzić ich dzieła i pamiątki po nich, zachować miejsca pracy*". W willi, którą zapisali Maria i Jerzy Kuncewiczowie muzeum kazimierskiemu, powstanie w przyszłości muzeum biograficzne; w wykupionym przed kilku laty i obecnie konserwowanym przez Muzeum Kazimierza Dolnego zamku, leżącym po drugiej stronie Wisły w Janowcu, przewiduje się otwarcie muzeum broni oraz usytuowanie w pobliżu parku skansenu drewnianego budownictwa dworskiego.

Tymczasem na początku 1978 r. zwrócił się do dyrektora Żurawskiego, budujący sobie właśnie w Kazimierzu willę, Jędrzej Jaworski i przedstawił następującą sytuację: posiada duży, kompletowany od lat zbiór zabytkowych sreber — w sumie 550 skatalogowanych i naukowo opracowanych przedmiotów — zbiór o wielkiej wartości, który chciałby powierzyć jako depozyt któremuś z polskich muzeów. Jest obywatelem kanadyjskim, ale Polakiem z urodzenia, od szeregu lat przebywa zresztą w Polsce jako szef jednego z zachodnich przedstawicielstw handlowych, i właśnie tutaj zgromadził większość swojej kolekcji, reprezentującej głównie wytwory polskiej sztuki złotniczej. Uważa, że polskie złotnictwo, mogące śmiało konkurować ze światowym rzemiosłem artystycznym tego typu, nie zostało nigdy należycie docenione i że warto przywrócić mu blask dawnej świetności. Właśnie dlatego on, Jędrzej Jaworski, chemik z wykształcenia, biznesmen z profesji, a znawca złotnictwa z zamiłowania, pragnie udostępnić swój zbiór szerokiej publiczności. Zdaje sobie jednak sprawę, że złożony przez niego depozyt może zniknąć na całe lata — jak to się dzieje w świecie — w czeluściach magazynów jakiegoś wielkiego muzeum, a jest bardzo prawdopodobne, że nigdy nie ujrzy w całości światła dziennego. Po prostu — im większe muzeum, tym — co brzmi jak paradoks — mniej w nim miejsca na eksponowanie zbiorów.

Ideą Jędrzeja Jaworskiego było także działanie na rzecz wydania leksykonu polskiego złotnictwa. Pisał na ten temat w przedstawionej dyr. Żurawskiemu obszernej notatce: *Kraje Europy i świata płacą trybut swym gigantom kultury od stuleci. Hołdem złożonym dziełu złotnictwa są monumentalne opracowania leksykonów, chroniące arcymistrzów repusu i ich uczniów od zapomnienia, opracowania pozwalające zachować głęboką więź duchową współczesnych społeczeństw z artystami, twórcami kultury materialnej naszego tysiąclecia. Dziewiętnastowieczni i współcześni autorzy w ZSRR, Austrii, RFN, Francji, Danii, Szwecji, Anglii, USA i w dziesiątkach innych krajów wystawiają świetne świadectwa genealogii złotniczej swych krajów. W Polsce — głucho. Poza skromnymi przyczynkami nagromadzonymi po wojnie i pozbawionymi ikonografii wycinkowymi pracami międzywojennymi, brak próby przywrócenia blasku familii świetnych polskich artystów, którzy, dzięki mistrzostwu rzemiosła, równy mistrzom Wschodu i Zachodu kunszt prezentowali...*

Istotnie: poza fundamentalną pracą znakomitego znawcy polskiego złotnictwa, Leonarda Lepszego — „Przemysł złotniczy w Polsce" wydaną w Krakowie w roku 1933, poza pracami monograficznymi ukazującymi się z rzadka i w niewielkich nakładach, nie mamy współcześnie ani szerszych opracowań, ani, co więcej, nawet bardziej wyczerpujących wiadomości na temat polskiego złotnictwa. Zresztą nie tylko złotnictwa, ale rzemiosła artystycznego w ogóle; na przykład w „Sztuce polskiej", wydanej w ostatnich latach, wiadomości na temat rzemiosła artystycznego w drugiej połowie XIX w. sprowadzają się zaledwie do... dziewięciu linijek druku!

Nikt dzisiaj nie szkoli w Polsce złotników; nie istnieje taki kierunek na żadnej z naszych wyższych uczelni plastycznych, ba, wiadomości na temat złotnictwa, jakie otrzymują w czasie swych studiów przyszli historycy sztuki, sprowadzają się prawie do zera. Wiedzę na temat technik złotniczych przekazuje się, jak za dawnych czasów, z ojca na syna. Pod warunkiem, że dzieci chcą kontynuować zawód rodziców. Oczywiście, nikt dzisiaj nie może sobie pozwolić na niezwykle kosztowne zamówienia, chyba że są to (sporadyczne poniekąd) wielkie inicjatywy społeczne w rodzaju odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie, ale przecież istnieje pokupna gałąź złotnictwa — produkcja biżuterii, zauważa się ogromny popyt na lichtarze, cukiernice itp. ...

•

Dyrektor Jerzy Żurawski poradził Jędrzejowi Jaworskiemu, by zamiast szukać daleko, powierzył po prostu swój depozyt Muzeum Kazimierza Dolnego. Argumentował, że ekspozycja tak pięknego zbioru sreber stanie się dodatkową atrakcją dla przybywających tutaj licznie turystów, że zorganizowane Muzeum Sztuki Złotniczej, w skali tak niewielkiego jak Kazimierz miasta, nabiera rangi pierwszorzędnej, podczas gdy w wielkim mieście ekspozycja *zaginęłaby w natłoku ofert kulturalnych*. No i że... po prostu: *Kazimierz jest miastem, którego uroda, skala, oprawa krajobrazu i zabytki architektury z bogatym zdobnictwem fasad nasuwają nieodparte skojarzenia z wyrobami złotniczymi.*

Nie wiem, co ostatecznie przekonało pana Jędrzeja Jaworskiego, może i święty Eligiusz, patron złotników (i sam wybitny złotnik z okresu merowińskiego) poparł kazimierską ideę, dość że ofiarodawca zapalił się do projektu. A gdy zobaczył z jakim zaangażowaniem dyrekcja muzeum oraz władze województwa lubelskiego wzięły się

Kielich mszalny ze schyłku XV w. prawdopodobnie wykonany na Pomorzu.

Lichtarz wykonany w Warszawie w 1867 r.

Komplet toaletowy wykonany w znanym warszawskim zakładzie Karola Malcza w 1870 r.

Cukiernica. Wiedeń. IV ćwierć XIX w.

do urządzania pomieszczeń dla przyszłej ekspozycji, nagle, zamiast oddawania w depozyt, po prostu... ofiarował cały cenny zbiór, 550 sreber, muzeum kazimierzowskiemu!

•

Może dodatkowo przekonał Jędrzeja Jaworskiego fakt, że Lublin był swego czasu liczącym się ośrodkiem złotniczym; tutejsi mistrzowie specjalizowali się szczególnie w dekorowaniu broni i drogocennych rzędów końskich. Cech złotniczy cieszył się w Lublinie szczególnym szacunkiem, a że prosperował nawet w ciężkich dla innego rzemiosła okresach, świadczą m.in. badania Stanisława Tworka, który w „Dziejach Lublina" stwierdzał, iż o ile do końca XVI wieku liczba lubelskich braci cechowych nie przekraczała 15, to według zapisów z roku 1647 było ich tutaj aż 35 a w niespełna dziesięć lat później — 32. Wywodziło się spośród złotników wielu lubelskich rajców, wójtów, ławników i burmistrzów.

Osadzili się w tym mieście na dobre już w pierwszej ćwierci XVI stulecia i choć liczba ich była stosunkowo niewielka, to jak pisze w swej pracy Leonard Lepszy — *inteligencją i wykształceniem celowali wśród innych rzemiosł.* Mieli też własną kaplicę i płatnego w niej przez cech kapłana, mieli własny dom cechowy przy ulicy Żmigród, dzieci zaś posyłali na naukę aż do stolicy państwa, Krakowa; zapisano w księgach imię Staszka z Lublina, którego w 1527 r. przyjął do nauki w swoim warsztacie złotniczym wybitny krakowski mistrz — Maciej Stwosz.

Lubelscy złotnicy przyjmowali czasem w swoje szeregi także mistrzów innych, ale pokrewnych specjalności, jak na przykład owego Jana malarza, który chcąc w 1589 r. wejść do cechu, musiał wykazać się „sztuką", to znaczy — namalować *ołtarz swym kosztem, okrom drzewa, które panowie bracia sprawić mają, który to ołtarz należeć ma do kaplicy złotniczej ś. Elżbiety.*

Lubelscy złotnicy wzorowali się w swych prawach na złotnikach krakowskich, a gdy 26 lipca 1566 r. król Zygmunt August nadawał im obszerny przywilej, nawiązywał w nim właśnie m.in. do „urządzeń" cechu krakowskich złotników. Tamże określono dokładnie i prezycyjnie, kto może do cechu należeć i jakiemu egzaminowi ma się poddać, jeśli chce „magisterstwo" w lubelskim cechu złotniczym osiągnąć. Kandydat miał w ciągu jednego kwartału wykonać:

1. Dwa kielichy srebrne albo puchary tym sposobem i sztuką, aby jeden w drugiego były włożone, zamknięte i sposobem „polskim kronowane".

2. Także ma robić pierścień złoty z kamieniami różnemi jako to: szmaragdem, szafirem lub rubinem itp., tak aby kamień każdy mógł być artystycznie „zasadzony".

3. Po trzecie, winien on wyrzezać na pieczęci szczyt, a nad nim hełm spiczasty, w górze zaś wyobrażenie jakiegoś zwierzęcia albo smoka, dookoła którego wiją się gałązki z kwiatkami, który to hełm powszechnie nazywają „helmdelun" (...).

Sto lat wcześniej, w Krakowie opatrywano jeszcze podobny tekst zastrzeżeniem nader surowym, iż kandydat na towarzysza cechu owego *te wszystkie rzeczy winien wykazać zanim się ożeni (!).*

•

Tak tedy i takową oto koleją rzeczy, die 22 Decembris, Anno Domini 1979, w lat bez mała 413 od nadania przez miłościwie panującego Króla Zygmunta Augusta przywileju cechowi lubelskich złotników, doszło do otwarcia w Kazimierzu Muzeum Sztuki Złotniczej. Zaś w czasie uroczystości pan Jedrzej Jaworski został udekorowany nadanym mu przez władze państwowe orderem za zasługi dla kultury polskiej.

Wśród eksponowanych przedmiotów, poza tymi z kolekcji naszego rodaka z Kanady, zaprezentowano 24 srebra z zakupów własnych Muzeum, 36 eksponatów ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie, 13 z Muzeum Okręgowego w Lublinie, 1 z lubelskiego Muzeum Diecezjalnego oraz 10 depozytów złożonych przez osoby prywatne. Te ostatnie srebra to wyroby wybitnych polskich współcześnie tworzących artystów, m.in. rodziny Zaremskich, biżuteria uhonorowana wysokimi nagrodami i medalami na światowych wystawach.

Lawabo biskupie z pierwszej połowy XVII w.
Dzban wykonany we wrocławskim warsztacie Ch. Kretschmera ok. 1725 r.; misa — powstała również we Wrocławiu, ok. r. 1740, w warsztacie G. Kahlerta.

•

Reporter, wśród rzędów lichtarzy, cukiernic, dzbanków, sztućców, przyborów toaletowych, wyławia swoim zwyczajem te przedmioty, które — będąc jak inne, przedmiotami sztuki — zdołały także zachować historię swojej służby u ludzi, w których posiadaniu pozostawały.

Oto jeden z zakupów Muzeum w warszawskiej „Desie" w 1979 r.: talerz srebrny, datowany na lata 1809—1827; wyszedł spod ręki znanego paryskiego złotnika Jean Baptiste Claude Odiota. Ma na kołnierzu ryte herby: Korczak i Engelhardt. Należał kiedyś do serwisu hetmana Franciszka Ksawerego Branickiego i jego żony Aleksandry... A Aleksandra Branicka? Była córką wielkiej księżny Katarzyny, późniejszej carowej, i Sergiusza Sołtykowa; oficjalnie zaś — córką Wasyla Engelhardta i Marty z Potemkinów...

Dzbanek wykonany w Petersburgu w 1871 r.

Oto para srebrnych kandelabrów z drugiej ćwierci XIX w. roboty słynnego warszawskiego złotnika Karola Filipa Malcza. Wyprodukowano tylko jeden komplet, sześć takich właśnie kandelabrów, zamówionych specjalnie na prezent ślubny dla Róży Potockiej wychodzącej za Władysława Branickiego. Czy wiecie, że wszystkie te kandelabry dochowały się, przechodząc bardzo różne koleje losu, do naszych czasów? Dwa są w posiadaniu Muzeum Narodowego w Warszawie, dwa inne są w Łańcucie, a dwa pozostałe trafiły do kolekcji Jędrzeja Jaworskiego!

A na przykład gotycki kielich mszalny, otwierający ekspozycję, nigdy już nam nie wyjawi, w sposób zdecydowany, miejsca swego powstania. Nie jest sygnowany żadnym znakiem; wykonał go anonimowy artysta. W katalogu wystawy zaznaczono przy nim: *Pomorze, schyłek XV w.* Znawcy widzą w nim wpływy niemieckie, a nawet krzyżackie. Ale znowu inni badacze twierdzą, że mógł on być wyprodukowany w jednym z warsztatów złotniczych na południu Polski.

Muzeum Sztuki Złotniczej ma być kiedyś, w przyszłości, przeniesione do zabytkowych kamieniczek braci Mikołaja i Krzysztofa Przybyłów, trzeba jednak najpierw, aby ustąpił stąd miejsca Urząd Miejski, Bank Spółdzielczy... Problem na całe lata. Na razie muzeum szykuje się do podjęcia pracy naukowej, organizowania w Kazimierzu spotkań współczesnych polskich złotników, a raczej bardziej chyba „srebrników" (bo w takim materiale najczęściej tworzą) oraz działalności wydawniczej. Kuratorem Muzeum Sztuki Złotniczej w Kazimierzu jest doskonały znawca polskiego złotnictwa Michał Gradowski z Warszawy.

W przyszłym roku ma się ukazać drukiem niewielkie wydawnictwo o rozwoju produkcji artystycznej polskich lichtarzy i cukiernic, i — najprawdopodobniej — drugie, przedstawiające rozwój złotnictwa lubelskiego.

•

Kazimierz Dolny zaczyna zapracowywać na drugi przydomek: S r e b r n y...

Zdjęcia: **Waldemar Stępień**

W 350 ROCZNICĘ ŚMIERCI STEFANA CHMIELECKIEGO

Postrach Tatarów

Adam Andrzej Witusik

Godzien jest pamięci wieków. Za przykładem bowiem Leonidasa nauczył się przeciwstawiać męstwo liczebnej przewadze i walczyć, dowodząc znikomą liczbą żołnierzy. W tych częściach Podola, które narażone są na ustawiczne napaści barbarzyńców prawie sam jeden osłaniał wszystkich — pisał o Stefanie Chmieleckim polihistor Szymon Starowolski w swym dziele „Wojownicy sarmaccy" wydanym w Kolonii w 1631 roku.

PRZYSZŁY regimentarz wojsk ukraińskich, a na łożu śmierci wojewoda kijowski, Stefan Chmielecki pochodził u ubogiej rodziny szlacheckiej zamieszkałej w ziemi przemyskiej. Chmielecki doświadczenie wojskowe i polityczne zdobywał pod okiem książąt Ostrogskich i Koreckich oraz hetmana koronnego Stanisława Żółkiewskiego. Po ojcu Janie Chmieleckim, wójcie ostrogskim, był klientem książąt Ostrogskich i Koreckich. W ich prywatnych oddziałach brał udział między innymi w wojnie moskiewskiej, toczonej przez Polskę za króla Zygmunta III Wazy.

Chmielecki uczestniczył w wyprawie mołdawskiej Stanisława Żółkiewskiego, nie wytrwał jednak do końca przy hetmanie, ale wśród ogólnego popłochu uszedł z garstką swych ludzi spod Cecory, przebiwszy się szczęśliwie przez Tatarów i Mołdawian. W liście z Krasnego z 29 września1620r. pisał do ordynata Tomasza Zamoyskiego, ożenionego z Ostrogską: *Oznajmuję WMści memu MPanu, żem z tej nieszczęśliwej bitwy z pogaństwem uszedł. Zachował mnie Pan Bóg na dalszą posługę Rzeczypospolitej i WMści mego MPana. W przeszłą sobotę porażenichmy od pogaństwa, a z niedzieli na poniedziałek wojsko JKMści mało co nadrażone, potraciwszy umysły szlacheckie, gdzie kto mógł, uchodziło. Już mi byli Ich M. PP. hetmani regiment taboru poruczyli..., ale próżno, dwaj nas tylko przy intencjach hetmańskich mocno stojąc, nie mogliśmy przeciw wszystkiemu wojsku przemóc, nie chciał już nikt przy swych hetmanach za sławę Rzeczypospolitej i króla pana swego sławnie umierać, wszyscy za Prut w Bukowinę uchodzić... Nie stało żołnierzów ojca WMści sławnej pamięci, a choć też jeszcze i są, zapomnieli powinności swojej... Więcej pisać, sfatygowany będąc i krwawymi się łzami zalewając, nie chcę, żałując zaginionych, braci, krewnych i miłego towarzystwa swego, więc i ubogich dostatków, którychem tam wszystkich pozbył... Bo choć mię już Tatarowie porzucili, znowu mię Wołosza wzięła... Bijąc się aż do samego Dniestru, obronną ręką uchodziłem pod Jarugę. Teraz tylko Pana Boga proszę, aby prędko zdarzył pomścić się nad pogaństwem, odbić i odebrać swoje... Są sposoby nieprzyjacielowi temu dać odpór, by cokolwiek ludzi w kupie było, gdyż nie tak jest mocny, którego byśmy potędze dobrze wydołać nie mogli.*

W lipcu 1621 r. ordynat Tomasz Zamoyski przyjął Stefana Chmieleckiego na służbę z obowiązkiem strzeżenia jego rozległych majętności podolskich przed napadami tatarskimi. Famulus Tomasza Zamoyskiego pisał: *Pan nasz, będąc w Równem, Stefana Chmieleckiego przyjął do swych posług za sługę. Naznaczył mu dwa tysiące jurgieltu rocznego, miasteczko Nowy Międzybóż, Szczuczyńce i Dewce, siół dwie konferował w używanie, a przy tym włość kraśniańską przez dzierżawę łaskawą puścił. Ludzie swe ukrainne, co wojenną służbę powinni, pod jego władzę oddał.*

Stefan Chmielecki, mając dobrze opanowane arkana sztuki wojennej i znając doskonale południowo-wschodni teatr operacyjny, świetnie radził sobie z czambułami tatarskimi. We wrześniu 1621 r. walczył na czele wojsk Tomasza Zamoyskiego z Tatarami w okolicach Frampola, gdzie *zgromił zagon jeden i więźniów niemało przywiódł.* 5 lutego 1624 r., dowodząc podjazdem wywiadowczym w rejonie Skały, wpadł we wsi Zalesie na 1500 Tatarów Manzuł murzy, rozbił ich, ale sam *odniósł strzałą szkodliwy postrzał w prawy bok.* 20 czerwca tegoż roku podczas bitwy z wojskami tatarskimi Kantymira murzy pod Martynowem z polecenia hetmana Stanisława Koniecpolskiego sprawował dowództwo nad lekką jazdą. Uderzeniem z boku na cofających się Tatarów odciął im drogę od brodu i zmusił do przeprawy przez głębokie wody Dniestru, po czym ścigał ich kilkadziesiąt kilometrów — aż do Chocimierza. Te zasługi oraz poparcie ordynata Tomasza Zamoyskiego i hetmana Stanisława Koniecpolskiego spowodowały, że król Zygmunt III Waza mianował Chmieleckiego chorążym bracławskim.

W 1625 r. Stefan Chmielecki wziął udział w wyprawie zbrojnej na Ukrainę, mającej zmusić Kozaków, szukających wówczas porozumienia raz z Tatarami, raz z Rosją, do uległości Polsce. W czasie walk stoczonych z Kozakami Chmielecki, dowodząc ludźmi Tomasza Zamoyskiego, wykazał sporo odwagi i męstwa.

W lutym 1626 r. podczas najazdu tatarskiego na Podole i Ruś Czerwoną Chmielecki, wyznaczony przez hetmana Stanisława Koniecpolskiego na dowódcę podjazdu, w okolicy Tarnopola uderzył nocą na rozłożony obóz tatarski, w którym znajdował się sam chan krymski Mehmed III. Spowodował duże zamieszanie i popłoch, lecz został odparty przez przeważające siły przeciwnika. Zmuszony do odwrotu, wycofał się do Tarnopola, biorąc jednak ze sobą cały jasyr tatarski i wiele koni. Potem, nie zwlekając, ruszył znowu w pogoń za wrogiem i rozbił kilka mniejszych zagonów tatarskich.

Szaleńcza odwaga Chmieleckiego i doskonała znajomość techniki wojowania Tatarów sprawiły, że hetman Stanisław Koniecpolski, wyruszając u progu jesieni 1626 r. do zaatakowanych przez Szwedów Prus Królewskich, mianował go za zgodą króla regimentarzem wojsk ukrainnych. Chmielecki ze sługi Zamoyskiego stał się więc jednym z ważniejszych dostojników w państwie.

Jako regimentarz stoczył Chmielecki kilka udanych potyczek z Tatarami. Między innymi jesienią 1626 r. rozgromił ordyńców pod Białą Cerkwią, uwalniając mnóstwo polskich jeńców, w tym dużo dzieci, które potem *wozami drabiniastymi wożone były do Lwowa i do innych miasteczek i od swoich poznawane i odbierane*, a w 1629 r. pokonał Tatarów nad Gniłą Lipą. W czasie walk nad Gniłą Lipą wziął do niewoli około 2000 ordyńców, wśród nich późniejszego chana krymskiego Islam Gereja. Chmielecki jako regimentarz snuł plany narzucenia Krymowi protektoratu Rzeczypospolitej lub opanowania go za pomocą Kozaków. Zawsze uważał, że *Rzeczpospolita dotąd nie będzie w pokoju, póki na karkach Tatarów nie wjedzie za Dunaj.*

Skuteczna obrona granicy południowo-wschodniej i starania byłego chlebodawcy, ordynata Tomasza Zamoyskiego, piastującego wówczas urząd podkanclerzego koronnego, zadecydowały, że król Zygmunt III Waza wyniósł Chmieleckiego na godność senatorską, ofiarowując mu w 1630 r. urząd wojewody kijowskiego.

Niedługo dane było cieszyć się Chmieleckiemu godnością wojewody, zmarł w kilka tygodni po nominacji — w lutym 1630 r. w Nowym Międzybożu. Sługa Tomasza Zamoyskiego, Stanisław Żurkowski, tak pisał o ostatnich tygodniach życia Chmieleckiego: *Przybył pan Chmielecki do Zamościa 12 stycznia 1630 roku. Pana zastał chorego... Nazajutrz po mszy wielkiej przywilej mu oddany w pokoju pańskim na województwo kijowskie przez ręce pana Piotra Oleśnickiego, sekretarza JKMści. Dla uszanowania i uraczenia gościa tegoż dnia słudze swemu panu Borowskiemu wesele sprawione, gdzie choć chory pan, przy ślubie i u stołu był. Pana Chmieleckiego nie jako sługę swego, ale już jako senatora wyżej niż siebie posadzić kazał, ciesząc się z nim — ile zdrowie pozwalało był wesół. Zamieszkał potem pan Chmielecki dni kilka i miał być zaraz z Zamościa do króla JMści jechać na oddanie wdzięczności swej za taką łaskę sobie podaną, jednak iż niebezpieczeństwa na Ukrainie od nieprzyjaciół Krzyża Św. następowały, dawszy pokój dworowi i zamysłom przedstęwziętym, spieszno pospieszył do Nowego Międzyboża, gdzie z podróżnego niewczasu niebezpiecznie zachorzał... (23 lutego 1630 r.) żałosna wiadomość przyszła z Ukrainy o zejściu z tego świata pana Chmieleckiego, którego wrzód w gardle umorzył: anginam go zowią lekarze. Z tej nowiny pan Zamoyski był wielce żałosny, iż i sługi potrzebnego, męża dzielnego pozbył i niedługo z onej promocji swej ucieszył się. Nazajutrz kapłanom, zakonnikom, ubogim za duszę jego jałmużny znaczne rozdać kazał. A do króla JMści prędką intercesyję swą za dziećmi jego bez ich wiadomości wniósł. Synów jego Łukasza i Adama król JMść przy Taborówce z inszym siołami w województwie kijowskim przez to prawem dożywotnim zachował i przywilej na to do rąk posłać kazał.*

Stefan Chmielecki cieszył się olbrzymią sławą żołnierską. Chwałę jego głosili kronikarze, śpiewano o nim pieśni.

Nie umarł, jako gnusowie umierają, Chmielecki... Bronił Ukrainy i z paszczęk wilków bisurmańskich wydzierał dusze. Był wszystek, aby szlacheckie córy u psów pogańskich nałożnicami nie były. Okrywał pola szerokie trupem pogańskim nie raz, nie dwa — stwierdzał złotousty kaznodzieja. A anonimowy poeta pisał:

Tu (leży) Chmielecki, co gromić nauczył Tatary,
I wiatr w polu uganiać; co przedtem do wiary
Nie zdało się podobne...

Zaś inny rymował:

Cny Chmielecki, mężu sławny!
Jakiego czas nie miał dawny.
Nie jeden wiek, ni dwa minie,
A twa sława nie zaginie.

A jeszcze gdzie indziej czytamy: *Tu spoczywa wzór trudów wojennych, gardzący niebezpieczeństwem, Stefan Chmielecki herbu Bończa. Zdobył wielką sławę, zabiwszy liczne zastępy Tatarów perekopskich, stosując albo szybkie uderzenia, albo zwłokę, jak tego wymagały okoliczności. Odniósł znakomite zwycięstwo z kilkoma tysiącami swoich nad ogromną ćmą barbarzyńców pod Białą Cerkwią. Męstwem swoim i sławą nazwiska napełnił całe Królestwo. Niestety jednak, los niestały i igrający z ludźmi u progu sławy i zaszczytów przedwcześnie go zgasił. Przeżył zaledwie 50 lat, zmarł z wielką szkodą dla Rzeczypospolitej w 1630 roku.*

Chmielecki ożeniony był z Teofilą Chocimirską, która odbarzyła go dwoma synami: Adamem i Łukaszem. Pierwszy zmarł w młodym wieku. Drugi przez złą gospodarkę zaprzepaścił ojcowski majątek. Teofila po śmierci Chmieleckiego nie wytrwała długo we wdowieństwie. Po raz drugo wyszła za mąż za stosunkowo mało znanego szlachcica — Marcina Tulibowskiego.

Na wojnie. Scena z wieku XVII

Kamena str. 10

ZIEMIA I PIEŚŃ

KOLUMNY POŚWIĘCONE TWÓRCZOŚCI LUDOWEJ

Helena Chłopkowa
(Chrzanów, woj. katowickie)

KWIAT W ZIMIE

Na moim oknie zakwitł kwiat —
Kwiat w zimie.
Nadzieję szczęścia młodych lat
I czyjeś imię
Przypomniał mi ten kwiat.
Ten kwiat.

Za moim oknem pada śnieg —
Dalej ulica pusta.
Myśli mkną w dal
A ostry wiatr
Umysł wspomnieniem chłosta.
Wspomnieniem.

I kwiat, i wiatr, słońce i śnieg.
Na dnie szuflady listy....
Czas, co się wlecze jak ciężki wiek —
To rzeczywistość.
Rzeczywistość.

Hanka Nowobielska
(Białka Tatrzańska, woj. nowosądeckie)

TAJEMNICA WZROSTU

Wnętrze ziemi słońcu poddawane,
w uświęconym bezwstydzie odkryte,
obsypane jak rządkami liter
oczyszczonym przed wysiewem ziarnem.

Jeszcze skiby spulchnią ciężkie brony,
jeszcze musi je osuszyć przewiew,
jeszcze tylko skąpią się w ulewie
i cud zacznie się na polu ornym.

Pierwszy kiełek zbierze na odwagę,
by zawołać światu: jestem, żyję!
i wnet zagon niby pisklę nagie

zieloniutkich piórek ruń okryje.
A skowronek będzie swoją piosnką
głosić dziwną tajemnicę wzrostu...

Stefan Sidoruk
(Stawki, woj. chełmskie)

ZIMOWE SNY

Cicho wieczór sny rozściela
ponad wioską w śnieżnym puchu,
drwa dopala pod kominem
i wprowadza zmrok w kożuchu.

Noc, nie śpiesząc się, przychodzi,
u przyciesi cicho siada
i chochołom z żytniej słomy
dawne klechdy opowiada.

Uśpiły się w sadzie grusze,
drzemią psy, milczą koguty,
a po wiosce kroczy w śniegach
przemarznięty senny luty.

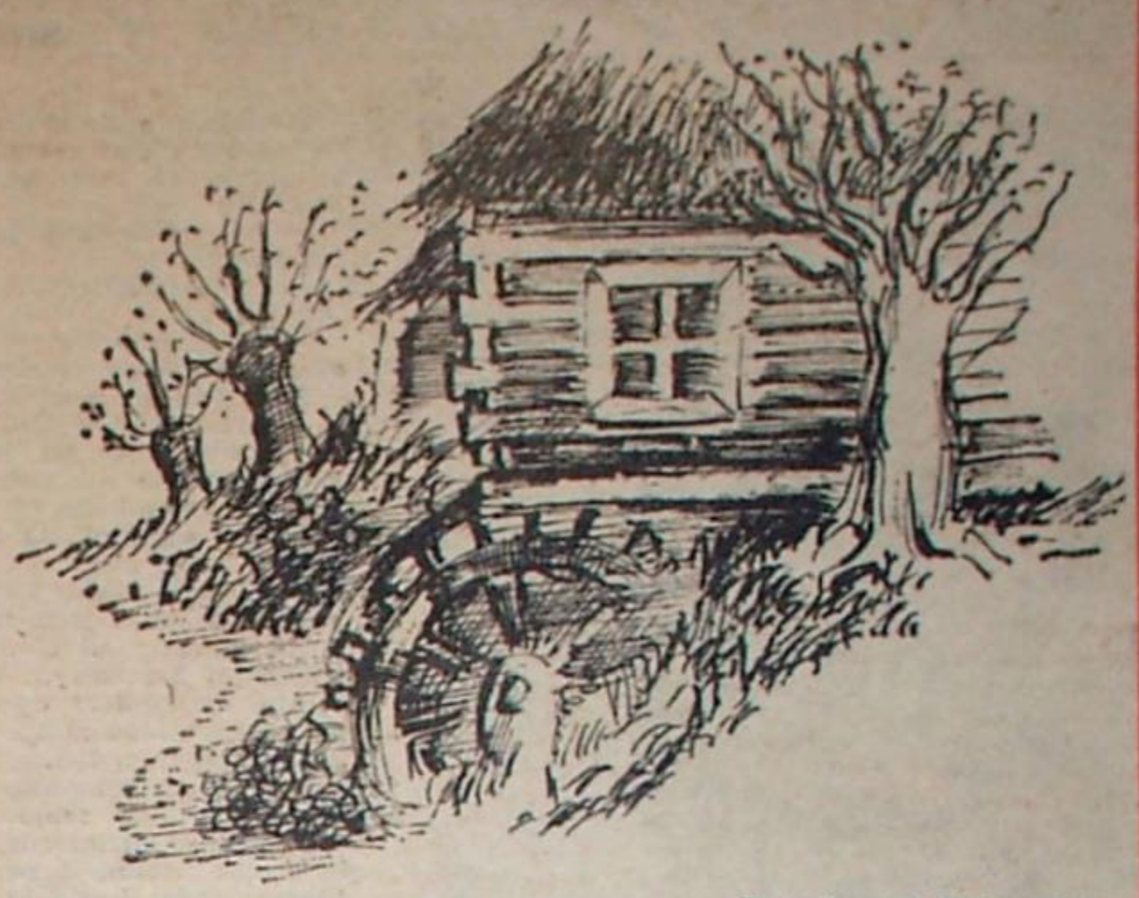

Rys. Konrad Kozłowski

Stanisław Buczyński
(Kotorów, woj. zamojskie)

PRZEDWIOŚNIE

A jednak wicher już śpiewa
O niedalekich radościach,
Weselej szumią już drzewa
I coś tak łazi po kościach...

Choć pusto w smutnych gałęziach,
Nie gra skrzydlata kapela,
Coś się do skoku napręża,
Jakby w przeczuciu wesela...

Aż wiosna krzyknie: hej, hola,
Bierzcie harmonię i gęśle,
Wszyscy pługami do pola,
Na życie, na burze, na szczęście!

Wyskoczą z rowu łopiany,
W pola wyfrunie przyśpiewka,
Będą już chodzić bociany
Na nogach — czerwonych marchewkach...

Słońce powiezie na łódce
Iskry na środek jeziora,
Wierzba zaśwista na dudce
Pierwszy wiosenny choral...

Ruch się uczyni w bylicach,
W szczawiach... I tak corocznie.
Nic się nie zmieści w granicach,
Wszystko poszerzać się pocznie!

TO DOBRZE

Kiedy płyniesz choć myślą
Po szlakach słonecznych na Odrze,
A sercem zawiśniesz nad Wisłą,
To dobrze...

Kiedy pierś twoja się oprze
O słup graniczny w czuwaniu,
To pięknie, to dobrze:
Potęga jest w twoim kochaniu...

Gdy miłość położysz na blizny
N I E Z N A N Y M, którzy polegli,
Trafisz w sam środek Ojczyzny,
W byt niepodległy...

I nagroda w dorocznym konkursie poetyckim o laur im. Jana Pocka w 1979 r.

TWÓRCY LUDOWI O SOBIE

Z życia układam strofy

Władysław Sitkowski
(Zwierzyniec, woj. zamojskie)

LUDZIE stawiają pytania: dlaczego piszę i skąd biorę temat? Oczywiście odpowiedź moja jest prosta, że temat rodzi się w codziennej pracy, ze smutków i radości i z każdej pory roku, która mówi innym głosem, trzeba tylko tę mowę zrozumieć, zebrać i ułożyć w strofy wiersza. I trzeba jeszcze otworzyć serce i duszę i wszystkie zmysły, które Bozia dała człowiekowi, i to jest ta najprostsza filozofia chłopskiej poezji. Udany wiersz, gdy wyjdzie spod pióra, daje tyle zadowolenia, co skończone żniwa.

Czy pisania wierszy trzeba się uczyć? Chyba tak, ale tej sztuki nie nauczy żadna szkoła. Trzeba mieć coś wrodzonego, no i resztę przyniesie solidna praca nad sobą. Zacząłem pisać dawno, jeszcze w młodości, ale wszystko to, co wtedy pisałem, traktowałem jako rozrywkę duchową.

Czułem jednak wewnętrzną potrzebę wyrażania słowem tego, co mnie otacza, i z czasem zacząłem poważniej myśleć, będąc po prostu przekonany, że to, co zawiera moja poezja, jest prawdziwe jak samo życie. Bo gdzież szukać tematu, jak nie w mozolnej pracy rolnika, jego radości na wiosennym zagonie, w rozzłoconym łanie zboża, który jest nadzieją jutra? Postacie ludu wiejskiego wplecione w pejzaż świtów i zmierzchów, pochylone nad garścią zżętego chleba mają w sobie tyle poezji, że nie sposób jej nie dostrzec.

W moim domu jest jak w każdej rodzinie, są chwile smutku i zwątpienia, ale jest także serdecznie, miło i wesoło. Moi trzej synowie: 23-letni Witek, 20-letni Mirek i 12-letni Robert wypełniają mieszkanie muzyką, a grają od maleństwa i to zawzięcie. Ileż to razy przygrywali na wiejskich zabawach i weselach, na imprezach szkolnych i gminnych i na scenach miast wojewódzkich!

Nie przypadkowo nawiązałem do muzykowania moich synów, grających na różnych instrumentach, bo właśnie ta muzyka i te moje wiersze były i są nieodłącznym towarzyszem życia i tyle radości przynoszą mnie i ludziom, rozweselając jakże często stroskane serca...

Poza liryką, fraszką i aforyzmem piszę także satyrę, bo w niej można najlepiej wyrazić krytycznie to, co nam przeszkadza, męczy i boli. Bo życie jest twarde jak kamień, ostre jak kosa i trzeba go równie twardo i ostro, ale z poczuciem humoru, traktować. Powiem jednak, że satyra to niebezpieczna forma wyrazu, przynajmniej dla autora, bo choć pomaga innym, to często szkodzi sobie, ale nie może go to odstraszać.

Zmienia się psychika ludzka, model rodziny, zwyczaje i obyczaje, wiejskie strzechy przechodzą do skansenów. Człowiek staje się automatem i musi podporządkować się tempu narzuconemu przez współczesność, która nie oszczędziła także natury. Dlatego też ważnym tematem w poezji ludowej musi być przyroda, z którą lud wiejski żyje na co dzień, a od której przecież jego życie jest tak uzależnione. Właśnie pięknej roztoczańskiej przyrodzie, w otoczeniu której mieszkam wraz z rodziną, poświęciłem wiele swoich utworów, niejako spłacając jej dług wdzięczności.

Poezja ludowa jest dziś odbierana równie chętnie przez mieszkańców wsi i miast, bo jest głęboka w treści, ale prosta i zrozumiała dla wszystkich. Mało jednak okazji mają poeci chłopscy do publikacji swych wierszy, bo nawet ludowa prasa rzadko je zamieszcza. A że poezja ludowa cieszy się wciąż powodzeniem, niech zaświadczy przykład, który biorę z własnego „podwórka". Otóż wydany przed kilkoma miesiącami mój zbiorek wierszy pt. „Szumią bory roztoczańskie" który ukazał się w ramach „Lubelskiej Biblioteki Ludowej" w Wydawnictwie Lubelskim w nakładzie tysiąca egzemplarzy został wykupiony w ciągu miesiąca, a że swoje tomiki tzw. autorskie szybko rozdałem, zostałem więc jak przysłowiowy „szewc bez butów", ale za to chyba nikomu nie będę dłużny wyjaśnienia, że pisać po prostu warto.

Komeno str. 11

Dookoła pachnąca

Stefan Aleksandrowicz

Paulina Hołyszowa

Fot. R. Burzyński

PAULINA Hołyszowa ze Strupina Dużego zmarła 7 października 1975 roku. Należała do tego nielicznego grona twórców ludowych, których wielkość i autentyczność nie jest kwestionowana.

Byłem ostatnim człowiekiem z zewnątrz, który odwiedził ją na kilka dni przed śmiercią. Rozmawiałem z nią. Zresztą był to raczej jej monolog, niż normalna rozmowa. Poetka, leżąc już w łóżku, przywoływała istotniejsze obrazy i zdarzenia ze swego niezbyt udanego życia. Małe radości i liczne niepowodzenia. Z dumą mówiła o tym, że jest tak bardzo kochana przez wiejskie dzieci. Wspominała budowę domu, nieudane małżeństwo i gorzką samotność. Miała żal do działaczy kulturalnych z Chełma, że obiecawszy, nie przyjechali na premierę przygotowanego przez nią widowiska plenerowego pt. „Cztery pory roku". Z tego właśnie powodu nie odbyła się premiera. Dużo mówiła o polskich górach. Były jej bardzo bliskie. Dlatego poświęciła im kilka wierszy, choć nigdy ich nie widziała. Najbardziej jednak żałowała, że nie udało się jej zdobyć gruntownego wykształcenia.

Czuła, że koniec jest bliski. Mówiła o tym ze spokojem. Bez żalu. Nie skarżyła się na los. Wierzyła w przeznaczenie. Opowiedziała swój sen:

„Obudziło mnie stukanie do okna. Wyglądnęłam. W ogródku stał człowiek. Przy płocie. W kurtce ze skóry był. Podniósł, o tak, do mnie rękę i powiedział:

— Hej ty! Dookoła pachnąca! — powiedział i się roześmiał.

Ja się oglądnęłam, czego on tak mówi. I tak sobie myślę:

— To pewnie dlatego, że ja mam tyle malw. No, ale teraz malwy przekwitły.

To on wtedy powiedział:

— Już ja ciebie niedługo wezmę".

Rozmowa męczyła ją bardzo. Brakowało tchu. Nie pozwoliła mi jednak odejść. Co chwila coś sobie przypominała, recytowała ostatni raz swoje ulubione wiersze: „O grudko mojej ziemi", „O ziemio moja chełmska" i kilka innych. Pytała o pogodę. Było ciepło i słonecznie. I to ją radowało. Mówiła także o tym, iż chciałaby być pochowana w najbardziej ulubionym przez nią miejscu. W pobliskim brzozowym lasku. Żaliła się bardzo, że ostatni egzemplarz wydanego za jej życia „Naszego wesela" ktoś niesolidny pożyczył i nie zwrócił. Ze smutkiem mówiła, że zapisane na wielu kartkach wiersze rozleciały się „jak ptaki", a ona już nie zdoła ich zebrać.

Tuż przed moim odejściem wyjęła spod poduszki zeszyt wierszy i poprosiła, żebym je przekazał Muzeum Wsi Lubelskiej w Lublinie. Okazało się potem, iż była to sporządzona przez nią antologia własnych wierszy. Wola poetki została spełniona. Weszły one do prowadzonego przeze mnie Archiwum Literatury Ludowej. Jest tego kilkanaście zeszytów, worek foliowy luźnych kartek, listy, fotografie, akwarelki na kartonie i inne drobiazgi. Materiały te już zostały częściowo opracowane i stały się podstawą monografii napisanej przez Andrzeja Seweryna w Katedrze Etnografii Uniwersytetu Warszawskiego...

Niedawno odwiedziłem dom poetki. Było to spotkanie bardzo bolesne. Budowana niemal przez całą wieś i wielokrotnie opiewana w poezji przez Paulinę, „chatka" straszy swym wyglądem. Niechlujnie poszyty dach, źle wyrobione klepisko, powleczone nieodpowiednim preparatem chemicznym płot i ściany, nie wymienione przegnile belki.

W trakcie rozmowy z bratem poetki, Wacławem Hurko, dowiedziałem się, że władze kulturalne z Chełma postanowiły założyć tu muzeum biograficzne. Zamysł to godny pochwały. Niestety, nie starczyło nie tylko środków i umiejętności, ale i pasji. Na zlecenie wojewódzkiego konserwatora zabytków grupa partaczy przeprowadziła nieszczęsny remont. Chata stoi na pośmiewisko mieszkańców wsi. Władze kulturalne Chełma i konserwator też nie zaglądają do Strupina, widocznie boją się z bliska przyjrzeć efektom tego dziwnego „remontu". O swoim domu pisała poetka:

Prawda, że chatyna ciasna,
Ale moja, ale własna.
Ludzie mi ją budowali,
po prostu się litowali.

Dziś tutaj o litość nie chodzi, lecz o poczucie odpowiedzialności.

Józef Małek
(Boży Dar, woj. lubelskie)

Piątka z plusem

JUŻ od rana w biurze panowała atmosfera nerwowego napięcia. Stary — znaczy się szef — nerwowym krokiem przemierzał pokój, co chwila chwytając się za kciuk. Na szczęście! Za pomyślność egzaminów ukochanego syna Zbyszka!

Jeśli stary co chwila chwytał się za kciuk, to my już od ósmej bez przerwy ściskaliśmy kciuki. Niech stary widzi nasze oddanie i doceni je. Przy najbliższej premii. Na ściskaniu kciuków zszedł nam czas do południa. Tuż po południu, gdy nasze kciuki z braku dopływu krwi podrętwiały na drewno, do biura wpadł Zbyszek. Tańcząc i skacząc wymachiwał jakąś kartką (na pewno cenzus — pomyśleliśmy) i wołał uradowany:

— Piątka z plusem! Piątka z plusem!

Potężne: „Hurra!" wstrząsnęło biurem, a Przywara, jak zwykle, aby się podlizać, pierwszy zaintonował „Sto lat!...".

Jeszcze nie przebrzmiały ostatnie słowa śpiewki, gdy Zbyszek rzucił się w otwarte ramiona rozczulonego taty, wołając:

— Zobacz tato! Zobacz! Piątka z dodatkowym!

Zbaranieliśmy. Zbyszek trzymał w ręku kupon toto-lotka...

— A co z egzaminem? — wyrwało mi się po chwili.

Zbyszek spojrzał na mnie z góry i uśmiechnął się ironicznie. Stary zaś, świdrując mnie wzrokiem, zatoczył palcem kółko na czole, mówiąc:

— Zwariowaliście? Mój syn milioner ma się męczyć na jakimś tam egzaminie? Pomyślcie tylko!

Rzeczywiście. Nie pomyśleliśmy o tym.

Rewizor

ZAWIAŁO nas kompletnie. Biały żywioł opanował drogi. Grzęznąc w śniegu, udaliśmy się do pracy. W biurze GS przywitał nas prezes:

— Obywatele! — zawołał nieco zachrypłym głosem — Zawiało nas! Musimy stanąć do walki z białym żywiołem!

Stanęliśmy. Chwyciliśmy za łopaty i przekopaliśmy tunel do magazynu z wódką, skąd wynieśliśmy kilka skrzynek spirytusu. Na imieniny prezesa.

Płynęły toasty, życzenia gratulacje. Solenizant w pocie czoła pił raz po raz własne zdrowie. Wtem wszedł stróż Alojzy i zameldował:

— Drożniki nas odkopały. Przyjechał rewizor.

— Z Gogola? — wybełkotał prezes.

— Nie. Z NIK-u. A gola to on nam strzeli, oj, strzeli...

Kopciuszek

(Stara bajka w nowej wersji)

W nowych pantoflach za tysiąc trzysta
Tańczył Kopciuszek raz jeden twista.
Królewicz w tańcu namiętnie szeptał:
„Choć mała, będziem spijać z warg nektar".
Nie uszli wiele, bowiem na schodach
Zgubił Kopciuszek pantofle oba.
Lewy się złamał, a rozpruł prawy.
Boso Kopciuszek wrócił z zabawy.
Królewicz zabrał pantofle oba
I poszedł szukać... Tak. Brakoroba.
Lecz rychło wrócił z niczym do króla
I w beznadziejnej umarł rozpaczy,
Bo gdzie przymierzył — buty jak ulał —
W każdym zakładzie legion partaczy!

Stefania Kapłan
(Bucha Beskidzka, woj. bielskie)

MATKA DO OSTATKA

Nigdy nie syta twoich tajemnic,
jak kura grzebię w twym wnętrzu,
jakby w twej ciemnej, tajemnej głębi
ktoś źródło życia w dół spiętrzył.

Przecież ja tylko ziarenko rzucę,
troszkę nawozem poprószę,
a kiedy za czas niedługi wrócę,
zawsze zadziwić się muszę.

Ziarnko do ziemi rączki wyciąga,
zaś w górę kłosem strzeliło,
gdzież ono wiedzę tę znaleźć mogło
że może być tym, czym było!

Te jego małe rączki, niteczki
do twojej piersi się wpiły,
z małego ziarnka, drobnej kuleczki
w wiele go ziaren zmieniły.

Dziwię się, gdy się płaszczem okrywasz,
dziwię, gdy trawą szeleścisz,
gdy się kwiatami maisz, gdy śpiewasz,
dziw mi się w głowie nie mieści.

Jakże cię, ziemio, nie nazwać matką,
darni twej do ust nie tulić,
żywisz, okrywasz, a na ostatku
jeszcze przygarniesz, matulu...

Kazimierz Maurer
(Babice, woj. sieradzkie)

TO TY

Najdoskonalszy kwiecie tej ziemi
promieniami swojej sławy
przekroczyłeś progi niebios
schodami swojej mądrości
zszedłeś na dno
najgłębszych morskich toni
przed twoją potęgą
potęgą kruchej wątłej istoty
drżą najpotężniejsze zwierzęta
kryjąc się w najdzikszych ostępach
niebotyczne góry
odczuły ciężar twojej stopy
to ty ujarzmiłeś rzeki
to przed tobą drży księżyc
i latają w pośpiechu
wystraszone gwiazdy
w twoim władaniu
wielka chemia lasery atomy
gryzące drzewo
na którym siedzisz
nieuświadomiony.

Władysław Sitkowski

HEJ, ROZTOCZE

Hej, Roztocze! Hej, Roztocze!
Jodły twoje te urocze
I te świerki, i te buki,
I wierzbiny gięte w łuki!

Jak tu nie pójść rankiem z rosą
Tam, gdzie ptaszki śpiew swój głoszą,
Tam, gdzie jeleń ryczy w borze,
Tam, gdzie las kołyszą zorze?

Nie przestraszę eskulapa,
Salamandry nie chcę złapać,
Chcę zobaczyć grzbiety, jary,
Zamknąć w sercu swym te czary.

Hej, Roztocze, Hej, Roztocze!
Zwierzyniec i gaj i Susiec,
I Krasnobród, i Górecko,
I roztockie to słoneczko!

Antonina Zachara-Wnękowa
(Rabka, woj. nowosądeckie)

JAKAŚ TY PIĘKNA ZIEMIO

Jakaś ty piękna ziemio
jakaś ty bogata
lecisz przy gwiazdach
z chmurami
w kwiatach
ze śpiewem ptaków
ze snem i marzeniem
ty
bańko mydlana
rzucona w przestrzenie

Kolumny poświęcone twórczości ludowej redagował Roman Rosiak

Henryka Kozaka podróże do źródeł

OD 1967 r. na łamach „Poezji", „Tygodnika Kulturalnego" i „Kameny" drukuje swoje wiersze Henryk Kozak, poeta urodzony w 1945 r. na Podlasiu, od ponad 10 lat na stałe osiadły w Lublinie. Nie napastuje różnych redakcji swoimi tekstami, nie zmusza przyjaciół i znajomych do cierpliwego wysłuchiwania ostatnio napisanych wierszy. Jest poetą stroniącym od literackiej giełdy i może nazbyt refleksyjnym, jak podlaskie pejzaże jego ziemi rodzinnej. Z utworów, w większości wcześniej drukowanych w wymienionych czasopismach, przygotował trzy tomiki wierszy: debiutancki — „W krajobrazie łagodnych słów" (Wydawnictwo Lubelskie 1973), „Podróże do źródeł" (Wydawnictwo ISKRY 1978) i ostatni pt. „Chwila" (Wydawnictwo Lubelskie 1979).

Przypominam te fakty nie bez powodu — Kozak pisze niestety mało i o sobie mógłby powiedzieć, że bywa poetą. Ale może właśnie dlatego to, co opublikował, zaskakuje szczerym wyznaniem, autentyzmem przeżycia, znamienną dla czystej liryki nastrojowością. Jego wiersze rekonstruują sytuację młodego człowieka, który wyrósł na wsi i „awansował" do miasta, ale tu nie znalazł oczekiwanej satysfakcji — miasto okazało się ziemią wcale nie obiecaną.

Nie bez powodu młodym poetą zainteresował się Tadeusz Nowak, chętnie i często udostępniając mu miejsca na łamach „Tygodnika Kulturalnego". Nowak i Kozak są interesującymi reprezentantami nurtu wiejskiego we współczesnej poezji. Oto przykładowo wiersz Kozaka pt. „Zmierzch":

Zmierzch i dogasają na polach ogniska
z sadów diabli na rogach jabłka wynoszą
ojciec przy studni poi konie
ile zarabiasz pyta
i okazuje się że wszystko jest jak
być powinno

zboża falują psy szczekają
modlą się panny przy figurkach
o pogodę urodę i miłość

Chrystus zlazł z krzyża i wśród ludzi chodzi
klepie po plecach biednych i bogatych
gospodę jużci zamykają mówi
i całą wieś zaprasza na piwo.

Już po lekturze tego wiersza nie trudno się zorientować, co łączy Kozaka z Nowakiem i co równocześnie ich różni. Wiersz Nowaka to poetycki świat skonstruowany z wiejskich realiów, ale istniejący wyłącznie w kategoriach estetycznych; jest, jak słusznie zauważa Stefan Lichański, konstrukcją elementów wziętych z rzeczywistości, ale nie tworzących realistycznego obrazu wsi. W poezji Kozaka elementem organizującym obraz poetycki jest właśnie zasada realistycznego widzenia świata. To jej podporządkowane są wszelkie elementy baśniowe, a plastykę opisu dynamizują ponadto personifikacje i animizacje oraz często sytuacja dialogu z elementami mowy pozornie niezależnej.

Znamienną rzeczą dla poezji Kozaka jest także sprawa operowania dwoma płaszczyznami czasowymi (aktualną i wspominaną), w aspekcie których podmiot liryczny dokonuje konfrontacji realiów wiejskiego pejzażu. I tak oto z wierszy Kozaka wyłania się sylwetka podmiotu lirycznego, który jako chłopiec opuścił wieś: „oślą ławkę" w wiejskiej szkole zamienił na urzędnicze biurko („Awans"). Exodus do miasta i pozorny awans rozczarowuje: *Miasto chciało mnie zabić* („Ostatni bunt"). Podejmuje więc decyzję: *Jutro wyjeżdżam i nikt /nie potrafi mnie tutaj zatrzymać... będę mieszkać na wsi... wiązać snopy/ we wrzosach z wrześniem się wylegiwać /a jeśli zostanę dłużej/ to i własnego sadu się dorobię* („Ostatni bunt"). A więc powrót, konfrontacja i rozczarowanie: *wieś pachnie spalinami a nie mlekiem.*

Czekają na mnie wiem to
już stoły uginają się pod ciężarem jadła
wszystkie diabły przepłoszone
na powitanie strzygą brody święci.

I staję w progu lecz czy to ja jestem
bo skąd ten grymas na ustach brata
wiem w sprzętach nawet fragment mnie
nie został
a w sadzie usycha moja ostatnia jabłoń.

(„Powrót")

Dokonana rekonstrukcja postawy podmiotu lirycznego wydaje się, szczególnie w aspekcie socjologicznym, dostarczać pewnych uogólnień. A przecież postawa taka znamienna jest dla wielu młodych ludzi wywodzących się ze wsi i w pierwszym pokoleniu osiadłych w mieście — mieszkających już w mieście, ale oddychających jeszcze wciąż atmosferą rodzinnej wsi. Warto przypomnieć tu także bohatera powieści Józefa Zięby pt. „Dzierżak", który cały czas swoją miejską obecność konfrontuje ze wspomnieniem rodzinnego wiejskiego domu — to on na ścianie swojego spółdzielczego mieszkania zawiesza jako szczególne insygnium nie krzyż i nie szablę, ale cep przywieziony z rodzinnego domu. Oderwanie się do tradycji kulturowej wsi, a równocześnie trudności z adaptacją w nowym środowisku są przyczyną różnego rodzaju stressów i tęsknot, jakie przeżywa podmiot liryczny wierszy Kozaka: *Chciałbym tam wrócić ślad swój choćby na miedzy zobaczyć /ująć w dłonie pług, z wronami pogwarzyć...* W konsekwencji zdarzają się powroty, raczej sezonowe, i jeszcze bardziej dramatyczne refleksje:

Chcieliśmy się modlić
lecz nikt nie pamiętał
słów modlitwy.

(„Listopadowe popołudnie")

Każde pokolenie ma swojego poetę. Czy Kozak jest poetą tych rozdwojonych na miasto i wieś? A przecież w naszym szybko urbanizującym się kraju nie jest to błahy problem. Wiersze Kozaka to nie tylko ujmująca liryka pełna dramatycznych refleksji, to także głos pokolenia zdobywającego stanowiska, ale wiernego swoim narodowym korzeniom. Pokolenia gotowego bronić odwiecznych wartości: piękna, dobra, poszanowania dla pracy, wierności ziemi ojczystej — może czasem zbyt naiwnie utożsamianych z sielskim i wiejskim pejzażem oraz porą pieczenia kołaczy.

Wiersze Kozaka są także poetyckim potwierdzeniem opinii, że nie ma powrotów bez konfrontacji i konsekwencji. W wierszach tych odwołanie się do krajobrazu młodości nie zawsze jest tylko „powrotem dla powrotu", ale często potrzebą oparcia się o wartości wyniesione z domu, na których każdy z nas budował fundamenty swojej osobowości. Słusznie zauważył Stanisław Czernik, pisząc w OKOLICY POETÓW (1939 nr 1—2): *W tym micie osobistym wszystkie przedmioty dzieciństwa stają się ważnymi symbolami. Dom, sad, zwierzęta, pole, wreszcie najbliższa okolica zamieniona [zostaje] jakby w centrum świata.*

Kozak daleki jest w swoich wierszach od wszelkiego dydaktyzmu i m. in. dlatego liryka jego jest tak bardzo autentycznie szczera, prawdziwa, emocjonalnie sugestywna — mimo tradycyjnych środków poezjowania, szczególnie w zakresie metaforyki i słownictwa. Kończąc swoje uwagi o wierszach Kozaka, mogę śmiało zauważyć, że liryce polskiej nurtu wiejskiego przybył poeta, którego utwory nawiązują do najlepszych tradycji współczesnej literatury.

Waldemar Michalski

Jeżeli...

LUBLINIACY zdołali przywyknąć do widoku tej budowy, usytuowanej niemal w centrum miasta i niedokończonej. Gmach teatru dramatycznego i filharmonii, rozpoczęty w 1974 roku rośnie wprawdzie, ale z wolna. I niektórzy obywatele zaczynają się niecierpliwić, węsząc w tym wszystkim wstydliwą tajemnicę, czyjąś nieporadność i opieszalstwo. Niektórzy nawet nie pamiętają już, o jakiej to skali obiekt powstaje i kiedy właściwie ma być oddany miastu i regionowi.

Przypomnijmy więc, że w gmachu będzie się mieścić widownia główna teatru na 1000 miejsc, scena kameralna z 360 miejscami oraz sala koncertowa filharmonii na 600 miejsc. Ogólna powierzchnia użytkowa wyniesie 22 tysiące metrów kwadratowych. Koszt — według aktualnych cen — blisko 800 milionów złotych (w tym roboty budowlano-montażowe ponad 580 milionów).

Zgodnie z umową — termin ukończenia całości upływa w 1984 roku.

Niby zatem jest jeszcze sporo czasu. Ale zarazem mało — zważywszy, iż w ciągu minionych przeszło pięciu lat wykonane na budowie prace zamknęły się kwotą raptem 158 milionów złotych, bo takie były limity, a zresztą limit ubiegłoroczny nie został nawet osiągnięty.

Lubelskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego (generalny wykonawca) zdaje sobie doskonale sprawę z napiętej sytuacji i dlatego wystąpiło niedawno z postulatami, od których realizacji uzależnia terminowe ukończenie obiektu.

Obecnie można powiedzieć, iż sprawa, kiedy Lublin otrzyma nowy budynek teatru i filharmonii, obwarowana jest szeregiem „jeżeli":

Jeżeli inwestycja — jako szczególnie istotna dla polskiej kultury — zostanie od tego roku włączona do planu centralnego i otrzyma odpowiednie limity oraz przydziały dewiz (m. in. na zakup sceny obrotowej w NRD, foteli i aparatury elektroakustycznej od Węgrów).

Jeżeli zainteresowane resorty zmobilizują podwykonawców do terminowego wejścia na budowę, pomogą w — równie terminowych — dostawach urządzeń.

Jeżeli władze wojewódzkie umożliwią przedsiębiorstwu, już od tego roku, dodatkowe zatrudnienie siły roboczej.

Jeżeli lubelski „Miastoprojekt" ukończy w br. dokumentację projektowo-kosztorysową gmachu i otoczenia (przynajmniej dla głównych zadań)...

To nie są wszystkie postulaty, a jedynie najważniejsze. I już stąd widać, jak wiele tutaj potrzeba. Pewien człowiek z branży budowlanej powiada, że sprawa jest bardzo ciężka, chociaż realna. Żeby prace budowlano-montażowe postępowały rytmicznie, musi być zrealizowany szczegółowy harmonogram dostaw materiałów budowlanych i sprzętu transportowego, tak by zamknięcie bryły budynku nastąpiło w 1980 roku. Dopiero potem szerzej mogą wejść podwykonawcy z robotami instalatorskimi i wyposażeniem obiektu.

— Tego typu budowa — usłyszałem — musi zyskiwać czasowo na stanach surowych, aby umożliwić wykończeniówkę o odpowiednio wysokim poziomie. Bo nie można w końcu sadzać człowieka na człowieka gdy spiętrzą się zaległości. Kto wie, czy z punktu widzenia całego przedsięwzięcia obecny rok nie jest najważniejszy! Dlatego o sprawie myślimy już teraz i oczekujemy rychłych decyzji.

Pdg

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 97 LATY

◆ **Produkcja fabryczna w Lublinie** według ostatnich urzędowych obliczeń przedstawia się następująco: pierwsze miejsce co do liczby zajmują fabryki wódek, gdyż ich produkcja wykazana jest na rubli 342 568, po nich idą fabryki tabaczne, z produkcją rs. 190 432, dalej produkcja browarów wynosząca rs. 149 653, potem fabryki maszyn i narzędzi rolniczych, z produkcją rs. 100 978, produkcja garbarni wykazana jest na rs. 50 575, fabryk mydła i świec rs. 49 882, fabryki gazu na rs. 26 670, fabryki wód gazowych na rs. 3 000, sztucznych nawozów na rs 600 i wyrobów tkackich przy więzieniu lubelskim na rs. 114.

◆ **Karnawał nie tylko w Lublinie,** ale i w jego okolicach dość spokojnie przechodzi, przyczynia się zapewne do tego ogólna stagnacja handlowa, która w roku bieżącym dotkliwie daje się we znaki rolnikom, pośrednio zaś i miastom. Słyszymy wprawdzie o wieczorku lub balku, w tym lub owym dworze odbytym, mimo to jednak chęć do zabaw jest o wiele mniejsza, aniżeli w latach zeszłych.

◆ **Fabryka Octu Winnego** Gwoździowskiego w Lublinie, istniejąca od roku 1876, powiększona i udoskonalona, produkuje musztardę stołową i ocet w różnych gatunkach: winny estragonowy, winogronowy nieustępujący w niczym octowi z Bordeaux i zwyczajny kuchenny bez żadnych przymieszek kwasów mineralnych szkodliwych zdrowiu.

PRZED 50 LATY

◆ **W najbliższych dniach** wykonany ma być w Lublinie wyrok śmierci na zbrodniarzu St. Jabłońskim. Stracenie nastąpi przez powieszenie. W Lublinie będzie to pierwsze wykonanie wyroku śmierci od czasu uzyskania niepodległości. Fakt ten jest więc dla społeczeństwa lubelskiego zrozumiałą sensacją. St. Jabłoński skazany został za to, że w listopadzie 1928 r. wymordował rodzinę Adamczyków, o czym szczegółowo swego czasu pisaliśmy. Sąd Okręgowy skazał go na bezterminowe ciężkie więzienie a Sąd Apelacyjny na skutek odwołania się prokuratora skazał go na śmierć.

Celem dokonania wyroku przyjedzie do Lublina kat Maciejewski. Wyrok już się uprawomocnił i wykonanie jego nastąpi prawdopodobnie w najbliższych dniach.

„Gazeta Lubelska"

◆ **Tak Rada Miejska jak i Magistrat** pracują dość owocnie dla dobra miasta. Nabywszy materiał z wiosną przystąpi Magistrat do budowy gmachu 7-klasowej szkoły powszechnej. Ulice i zieleńce miejskie uzyskają z wiosną 60 sztuk młodych drzewek. Elektrownia miejska jest już na ukończeniu, a wspaniały i estetyczny gmach elektrowni będzie niemałą ozdobą miasta. Obecnie mimo zimy przeprowadza się włączanie mieszkań do linii elektrycznej, a ostatnio przed dotychczasowym budynkiem szkolnym wmontowano olbrzymi słup rozdzielczy prądu. Pamięta również Magistrat tutejszy o brukowaniu ulic, układaniu chodników oraz mostach przejazdowych na rzece przy ulicy Nadstawnej 9, na przedmieściu Bojary. Jak z powyższego wynika, tutejszy samorząd miejski jest dosyć czynny i dbały o dobro i wygląd tego miasta, gdyby tak Magistrat pomyślał jeszcze o wybrukowaniu całego rynku, który w czasie blok jesiennych przedstawia opłakany wygląd, zdobyłby tym bardziej uznanie i zaufanie ludności.

◆ **Jak się dowiadujemy,** zarząd Lubelskiego Pogotowia Ratunkowego zaangażował nową siłą lekarską w osobie p. dr. Lipińskiego, który zacznie sprawować swe czynności 1 lutego roku bieżącego. Widzimy więc, że Pogotowie Lubelskie mimo nader ciężkich warunków materialnych i braku zrozumienia robi co może, aby naszemu społeczeństwu zapewnić jak najlepszą i najszybszą pomoc w nagłych wypadkach.

„Głos Lubelski"

Wybrała: **Anna Orzechowska**

Od redakcji: Nie możemy zdobyć prasy lubelskiej sprzed 100 lat, drukujemy informacje sprzed 97 lat.

ekran i widz

Anioł dyskoteki

PO disco-filmach takich jak „Abba", „Orkiestra Klubu Samotnych Serc sierżanta Pieprza" czy „Dzięki Bogu, już piątek", zawitał wreszcie na nasze ekrany ten, od którego się to wszystko właściwie zaczęło: „Gorączka sobotniej nocy", z Johnem Travoltą w roli głównej.

A zaczęło się stosunkowo niedawno, w grudniu 1977 r., kiedy odbyła się premiera „Gorączki sobotniej nocy". Sukces filmu na amerykańskich ekranach był oszałamiający, jego twórca, John Badham, który do tej pory pracował głównie dla nowojorskiej telewizji, stanął za jednym zamachem w rzędzie najbardziej popularnych amerykańskich reżyserów, a John Travolta stał się światową sensacją, idolem młodzieży oraz posiadaczem znaczącego konta bankowego. Producenci błyskawicznie poszli za ciosem: już na wiosnę 1978 r. w kinach amerykańskich ukazał się następny film z Travoltą — „Grease" („Brylantyna"), w 1979 r. obsadzono go w głównej roli w „Urban Cowboy" („Miejski kowboj").

„Gorączka sobotniej nocy" i „Brylantyna" przyniosły tylko w samych Stanach Zjednoczonych i tylko w 1978 r. — 120 milionów dolarów wpływów, a na dodatek jeszcze Travolta objawił się jako gwiazda piosenki, nagrawszy album płytowy „John Travolta" z przebojem „Let Her In", a następnie płytę — „Slow Dancing". Człowiek, który do filmu muzycznego wkroczył dzięki fenomenalnym uzdolnieniom tanecznym — bo wszak „Saturday Night Fever" („Gorączka sobotniej nocy") i jej pochodne są filmami muzycznymi (aczkolwiek specyficzną ich odmianą) — udowodnił, że nie tylko nogom zawdzięcza karierę. Posiada bowiem niewątpliwy talent aktorski, chociaż widzom rzuca się w oczy najpierw jego osobowość ekranowa. Rzecz, której mógłby mu pozazdrościć niejeden wybitny artysta filmowy.

Właściwym bohaterem „Gorączki sobotniej nocy" jest jednak przecież muzyka i taniec. Wszak przede wszystkim z myślą o pozyskaniu jako widzów ogromnych mas młodzieży, hołdującej dyskotekowej modzie i muzyce, film ten został nakręcony. Jest więc w nim najsamprzód dyskoteka — z jej niezwykłym, „przyszłościowym", odgradzającym od trosk codziennego świata wystrojem wnętrza, z pulsującymi kolorowymi światłami, z podświetlonym parkietem, eleganckim barem i tym, co się określa mianem „friendly atmosfere". Są piękne, atrakcyjnie ubrane i wspaniale ruszające się w tańcu dziewczyny oraz muzyka: piosenki w wykonaniu znanego zespołu The Bee Gees — „How Deep Is Your Love", „Night Fever", „Staying Alive", „You Should Be Dancing" i wiele innych, stanowiących swoisty kod identyfikacyjny dla miłośników młodzieżowej muzyki na całym świecie.

I na dodatek tego wszystkiego jest ON! Król dyskoteki — „piękny jak anioł", smukły; „jak anioł" tańczący. Przedkładający taniec nawet ponad seks — choć młodzieńczego seksu nie pozbawiony (a przez to tym bardziej dla nastolatek atrakcyjny). Tony Manero — John Travolta!

Muzyka, taniec, idol: to jest w filmie disco najważniejsze, to się najbardziej liczy, cała reszta jest tylko dodatkiem, fabularną siecią, która ma w swych okach ułożyć i utrzymać kolejne muzyczno-taneczne sekwencje. Fabuła jest w takich filmach jedynie łańcuchem (i to nie za mocnym) spinającym taniec i muzykę w pewną ekranową całość. Tak było na przykład w przypadku „Abby", gdzie kolejne muzyczno - widowiskowe partie przeplatane były scenami pogoni reportera radiowego za znajdującym się w „objeździe" po Australii słynnym zespołem.

Są jednak również filmy disco z „ambicjami" i do takich właśnie należy „Gorączka sobotniej nocy". Nic dziwnego: scenariusz tego filmu powstał na podstawie reportażu amerykańskiego dziennikarza Nika Cohena, który interesował się modą disco, rozpatrując ją m. in. także z socjologicznego punktu widzenia, scenarzystą zaś był Norman Wexler, ten sam autor, który z takim zacięciem starał się ukazać amerykańską rzeczywistość „niższych klas średnich" (owych „lower middle classes") oraz pogranicza biedoty i slumsów w policyjnym dramacie „Serpico".

„Saturday Night Fever" ma ambicje socjologiczne, psychologiczne i nawet... sui generis — filozoficzne. Roziskrzona od elektronicznych efektów dyskoteka „Odyseja 2001" (odwołująca się nazwą do słynnego przyszłościowego filmu Stanleya Kubricka pod tym samym tytułem) wznosi się w samym centrum proletariackiej dzielnicy, w nowojorskim Brooklynie. Bogaty Manhattan jest za rzeką i trudno się tam dostać perweniuszowi z Bay Ridge, choć przecież oba brzegi spina piękny, nowoczesny, łatwo przejezdny dla każdego most Verrazano.

Król dyskoteki, dziewiętnastoletni Tony Manero, na co dzień pracuje w sklepie z farbami jako początkujący subiekt, cały tydzień żyje w kręgu swej włoskiej, robotniczej rodziny, znoszącej jakoś pozycję syna, z którego „nic nie będzie", a realizuje się naprawdę dopiero w sobotnie wieczory, gdy budzi podziw tanecznymi wyczynami na parkiecie „Odysei 2001". Podobnie żyją jego koledzy, wywodzący się z takich samych jak Tony Manero środowisk.

Te sobotnie wieczory to dla młodzieżowego środowiska Bay Ridge — godziny ułudy, marzeń o lepszym świecie i lepszym życiu, do którego tylko nieliczne jednostki z ich grona kiedyś się, być może, wyrwą. Tak jak się udało dyskotekowej partnerce Tony'ego, Stephanie Mangano, pracującej w agencji aktorskiej na Manhattanie. Poznała ona jednak całą gorycz drogi prowadzącej tam do społeczno - towarzyskiego awansu. Spróbuje również ucieczki z Brooklynu i Tony Manero. Zdał sobie sprawę, że jego dyskotekowe sukcesy to tylko pozór prawdziwego ludzkiego spełnienia.

Ten socjologiczno-psychologiczno-dydaktyczny wątek, nie najwyższej zresztą artystycznej próby, jest doprawiony w filmie Badhama ingrediencjami charakterystycznymi dla amerykańskich filmów zabiegających o szeroki sukces: szczyptą erotyki, łutem bijatyki i garstką suspensu (sceny na moście Verrazano).

Wreszcie — „filozofia"... Nie bez powodu w pokoju Tony'ego wisi na ścianie afisz filmu „Rocky" Avildsona z podobizną bohatera, Sylwestra Stallone. Plakat ten przywołuje historię skromnego amerykańskiego boksera z ubogiej, proletariackiej dzielnicy, który dzięki usilnej pracy nad sobą i szlachetnemu postępowaniu osiągnął zwycięstwo (natury przede wszystkim moralnej, bo decydującą walkę przegrał); osiągnął je dzięki „czystości" spojrzenia na świat oraz przyrodzonej szlachetności. „Gorączka sobotniej nocy" włącza się jakby do tego nowego nurtu w kinie amerykańskim, który odchodzi od problematyki rozliczeniowej, piętnującej i oskarżycielskiej, a stara się „poruszać serca i dusze", odwoływać do dobrych i szlachetnych cech, jakie tkwią w łonie narodu amerykańskiego.

Do „Gorączki sobotniej nocy" mam stosunek ambiwalentny. Robi na mnie wrażenie, ale wolałbym jednak, żeby może była filmem z mniejszymi ambicjami: to i muzyce, i tańcowi, i sztuce filmowej wyszłoby na lepsze. Chyba żeby reżyser... Ba, reżyser...!

M. D.

Z logiką na bakier

Z prasy krajowej i węgierskiej wybraliśmy kilka tekstów, które aż się proszę o ten wspólny tytuł: „Z logiką na bakier".

Tytuł i forsa

Z felietonu Ernesta Skalskiego w 1 n-rze „Odry": „W ciągu dnia pracy panna Halinka przepisywała (w ogromnym przedsiębiorstwie) akurat tyle, ile jej pięć koleżanek z dyrekcyjnej hali maszyn, a w przeciwieństwie do nich prawie nie robiła błędów. Gdy po dwóch latach dostała 200-złotową podwyżkę, koleżanki przyjęły to bardzo wrogo. — Halinka nie ma domu na głowie i dzieci — twierdziły. Argument o ilości przepisywanych stron zupełnie do nich nie docierał. Ponieważ panna Halinka nadal pisała dużo i dobrze, a siatka płac nie przewidywała już dla niej żadnych podwyżek, awansowano ją na sekretarkę. Z nowych zadań wywiązuje się dobrze, ale na hali maszyn znowu zatory. Szef natomiast szuka w nomenklaturze tytułu dla panny Halinki, może starszy referent albo i jakiś kierownik, żeby można było jej dodać znowu tę parę stów.

Ten sam szef na bieżąco podejmuje decyzje warte grube miliony, ale swej sekretarce nie może powiedzieć: od jutra ma pani o tysiąc więcej. [...] Tabela rang, którą wprowadził w Rosji Piotr I i która przetrwała do rewolucji, była ze swoimi czternastoma stopniami w administracji i ich odpowiednikami w wojsku czymś bardzo prostym i przejrzystym w porównaniu z urzędową hierarchią istniejącą w naszym, skądinąd demokratycznym, społeczeństwie. Tenże dyrektor ma w swoim przedsiębiorstwie ślusarzy IV i tokarzy V grupy, w innych pracują prześwietlacze jaj czy patroszarki ryb, a każdy ma swoją z urzędu przewidzianą stawkę, którą można podnieść nie za często, nie za wysoko, w miarę posiadanych środków i oczywiście z awansem na wyższy stopień. I tak jest prawie wszędzie. Większość dostaje nie tyle za to, co robi, ile za to, czym jest, jakie miejsce zajmuje w służbowej i urzędowej hierarchii. System hierarchicznych stanowisk zaczyna funkcjonować sam dla siebie, odrywa się od przypisanych mu zajęć, a powiązanie pracy i jej wyników z wynagrodzeniem zaciera się niemal kompletnie. Awans finansowy możliwy jest na ogół jedynie w ramach wąskich widełek: od — do, potem w przeważającej ilości wypadków można już tylko awansować służbowo. W większości wypadków jest to jedyna i podstawowa droga kariery życiowej. Ogarnia nawet w jakimś stopniu wolne zawody, gdzie prawie każdy stara się być dyrektorem, prezesem, rektorem lub choćby docentem od piosenki estradowej, czy starszym asystentem od akwareli.

Ograniczenie dróg kariery jedynie do urzędowej pragmatyki ogranicza ruch kadr i ich należyte wykorzystanie. Utrata kierowniczej funkcji staje się degradacją materialną i społeczną i może być stosowana właśnie jako kara za bardzo już drastyczne przewinienia, a nie przejście z jednej pracy do innej, niekoniecznie gorszej w społecznym odczuciu. Tu także w dużym stopniu tłumaczy się tak potępiane zjawisko karuzeli kadr kierowniczych. Gdy ktoś nawalił w kierowaniu produkcją, to idzie kierować gospodarką komunalną, potem handlem albo kulturą, bo istnieje wszak naturalna samoobrona wszystkich potencjalnych zainteresowanych.

A w tych warunkach kierowanie jest bardziej symbolem statusu niż konkretną umiejętnością [...] Mówiono o tym i dawniej, lecz obecnie sprawa staje się bardziej pilna. Jeśli rewolucja naukowo-techniczna nie ma pozostać retorycznym zwrotem, to nadmiernie sztywne [...] struktury organizacyjne będą na dłuższą metę nie do utrzymania..."

Ot, ciekawostka

„Życie Gospodarcze" (nr. 7) pisze w swym żywociku: „Magazynierzy magazynu spożywczego nr 507 w Poznaniu od 1975 r. alarmowali swoje władze, że magazyn jest tak przepełniony, iż nie można dostać się do towarów, że produkty tracą przydatność, że temperatura jest niewłaściwa, więc wszystko się psuje. Deklarowali, że w tych warunkach nie odpowiadają za straty, że nie przyjmą więcej towarów — ale nikt się tymi pismami nie przejmował. Kiedy zaś przysyłano kobiety do porządkowania czy sortowania, to one piły koniak, to samo robili robotnicy budowlani. A w związku z wymianą bramy przez kilka dni i nocy magazyn był w ogóle nie zamykany. W końcu magazynierzy złożyli zbiorowo wymówienie. Ale nie odchodzi się tak prosto. Remanent z tej okazji ujawnił, że zepsuły się towary za ponad 1 miliony, a manko przekracza 600 tys. Inna komisja to manko obniżyła i sprawa wpłynęła do prokuratury. Proces. Biegli stwierdzają, że można mówić tylko o 220-tysięcznym manku, bo w czasie remanentu wydawano towary i już się w tym nie można połapać. Sąd przyjął argumenty obrony i w ogóle uniewinnił magazynierów. W tych warunkach, przy obrocie rocznym 600 milionów, niedobór 200 tys. nie jest istotny — stwierdził sąd. Nic nie wskazuje na to, by wynikał z nieuczciwości magazynierów. Wyrok taki ma charakter precedensu. Dyrekcja jednak twardo domaga się od magazynierów wyrównania manka, chociaż nie martwią jej zbytnio dziesięciokrotnie wyższe straty wynikłe z zepsucia się towarów..."

„Życie" zaczerpnęło tę „ciekawostkę" z „Głosu Wielkopolskiego". Na to źródło i nam powołać się wypada.

Co się bardziej opłaca?

Z artykułu zamieszczonego w dodatku do „Polityki" („P-E-I" — nr. 2) pt. „Pieszczoty pod włos" pióra A. K. Wróblewskiego. Dyr. Szydło z Bytomskich Zakładów Przemysłu Odzieżowego mówi: „Najlepszym dla nas, dla Zakładów, interesem jest szycie z materiałów powierzonych przez odbiorcę. Nasz klient z RFN płaci nam za uszycie ubrania z polskich materiałów wprawdzie dwa razy więcej, ale nasze koszty rosną wtedy jeszcze bardziej".

Okazuje się, że to, co zakłady wełniane dają zakładom odzieżowym, nie jest w najlepszym gatunku. Najlepszy gatunek idzie na eksport. Tutaj jak na dłoni widać, że nakaz eksportu, eksportu za wszelką cenę ma oprócz niewątpliwych zalet także i wady. Bytomskim Zakładom zdarzało się już, że nie mogąc dostać odpowiedniej podszewki krajowej brali ją od swoich odbiorców na Zachodzie i znajdowali na niej napis: made in Poland...

Fucha po węgiersku

Na łamach tygodnika „Elet es Irodalom" Gyorgy Asperjan pisze o tzw. fuchach, uganianiu się przez pracowników za dodatkową pracą, często w czasie normalnych zajęć. Pewien stolarz w swym macierzystym zakładzie zarabia miesięcznie 3200 forintów, ale za czterodniową fuchę polegającą na założeniu boazerii zażyczył sobie 6 tys. forintów. Inny znów ślusarz za fuchę wykonaną w warsztacie państwowym przy użyciu państwowych narzędzi zarobił w ciągu jednego(!) dnia 4 tys. forintów. Ale tej pracy nie chciał się podjąć ani zakład państwowy ani zakład spółdzielczy. Ów ślusarz powiedział: „Przedsiębiorstwo za wielkie pieniądze zakupiło dwa wozy serwisowe, ale nikt nie jest skłonny w nich pracować, gdyż na podstawie książeczki jazdy łatwo skontrolować, gdzie kto spędza czas pracy".

Z kolei monter pieców ogrzewczych czyści piece etażowe w prywatnych mieszkaniach w czasie godzin swej pracy i w ten sposób zarabia miesięcznie 16 tys. forintów, nie licząc pensji otrzymywanej w swym zakładzie. Znaleźli się malarze, którzy w ciągu trzech dni wykonali pracę, którą spółdzielnia zrobiłaby w ciągu trzech tygodni, a do tego wykonali ją taniej, zarabiając dziennie po 1800 forintów.

„Stopniowo — pisze autor artykułu — wszyscy będą dążyć do tego, by postępując za logikum warunków stałe miejsce pracy uważać za pracę uboczną. Oczywiście miejsce pracy jest potrzebne, bo tu można odpocząć po ciężkiej prywacie wykonywanej w godzinach pracy..."

Hmm...

KRONIKA KULTURALNA

* Nad patriotycznymi i obywatelskimi funkcjami lektur młodego czytelnika radzili w Zamościu (18—19 lutego) pracownicy naukowi z całej Polski. Organizatorów sesji było kilku. Z Lublina — Zakład Teorii Literatury UMCS; z Zamościa — Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna, Kuratorium Oświaty i Wychowania, Zamojskie Towarzystwo Miłośników Książki. Referatów było kilkanaście. Rzecz jasna — nie mogło zabraknąć rozważań nad poczciwą twórczością Sienkiewicza i Prusa. Dosyć pożyteczna ta impreza przychodzi w sukurs szkole, gdzie zresztą powinności dydaktyczne literatury egzekwowane są aż do znudzenia. W tym układzie należałoby oczekiwać raczej sesji o dziele sztuki literackiej jako przedmiocie estetycznym — z czego on jest zbudowany i jak funkcjonuje w odbiorze dziatwy szkolnej. A sądzić można, że funkcjonuje bardzo słabo, skoro niewiele lepiej jest w oficjalnych programach uniwersyteckiej polonistyki.

* Film, o którym piszemy w rubryce „Ekran i Widz", „Gorączka sobotniej nocy" był wyświetlany w lutym na przedpremierowych pokazach w lubelskim kinie „Kosmos" i mimo, że seanse dawano w nocy, człba młodzieży garnęła się straszliwie, ale nikomu nic nie złamano. Do normalnego rozpowszechniania film wchodzi już od 1 marca, jest wszelako informacja dla tych, którzy w czasie seansów odczuwają potrzebę hałasowania i przytupywania. Drodzy przyjaciele, John Travolta robi to na ekranie o wiele lepiej, gdyż to nie wy, ale on jest fachowcem, chociaż abstynentem.

* Nieśmiertelny Mieczysław Fogg gości na Lubelszczyźnie, dając koncerty w wielu miasteczkach. Jeszcze kilka lat temu jego sentymentalne piosenki mogły wydawać się przestarzałe, ale obecnie — w epoce mody retro — są w sam raz, czyli nowoczesne. Okazuje się, iż coś może stać się tak stare, że aż nowe, jak choćby ostatnio wąskie klapy u marynarek i takież krawaty.

* W galerii Klubu MPiK przy ul. Leonarda w Lublinie od 11 lutego prezentuje swe rysunki tuszem młody historyk sztuki, Konrad Kozłowski. Skromna pod względem liczby prac wystawa przynosi przecie dokonania interesujące, które wyróżniają się drapieżnością i dramatycznością spojrzenia na świat ludzkich przeznaczeń. O Kozłowskim, który w 1978 r. wystawiał swe prace w Nimehen (Holandia), pewien tamtejszy krytyk powiedział, że „rysować potrafi ten człowiek jak mało kto".

* W Horodyszczu (woj. bialskopodlaskie) działa od 1925 r. jednostka Ochotniczej Straży Pożarnej, do której należą przedstawiciele wszystkich płci i generacji. W końcu lat czterdziestych strażacy z Horodyszcza założyli amatorski zespół teatralny, a gdy on się rozpadł jego uczestnicy przed kilku laty utworzyli z kolei chór mieszany. Zapał i uczynność strażaków ufundowały wiosce dwa lata temu obiekt kulturalny, gdzie znajduje się dom kultury, biblioteka, klub „Ruchu". Wtedy też ich staraniem powstał we wsi obelisk ku czci poległych za ojczyznę podczas II wojny światowej. We współzawodnictwie wojewódzkim między jednostkami OSP Horodyszcze zawsze plasuje się na czołowych lokatach. Mając takich beniaminków, „Słowo Podlasia" (nr 6) informuje: „Jest w strażakach jakaś siła...".

* Bardzo praktyczną imprezę zorganizowano 17 lutego w podziemiach Lubelskiego Domu Kultury — kolejną giełdę płyt i wydawnictw muzycznych. Miłośnicy i właściciele sprzętu odtwarzającego mogli się dowiedzieć, jak należy poprawnie eksploatować ów sprzęt, mogli też posłuchać najnowszych nagrań. W sytuacji, gdy krajowy sprzęt należy, optymistycznie mówiąc, do średniej klasy, takie porady są jak najbardziej potrzebne. Oczywiście, musiało się to wszystko skończyć dyskoteką, którą prowadzili prezenterzy ze Studenckiego Stowarzyszenia Jazzowego w Lublinie.

* Na organizowany przez Zakładowy Dom Kultury w Świdniku przegląd zespołów przygrywających na weselach nikt nie chce się zgłosić, rozeszła się bowiem pogłoska, iż za imprezą czają się... przebiegli inspektorzy Wydziału Finansowego. „Kurier Lubelski" (z 19 lutego) zdementował tę pogłoskę, żałując, iż stracona została okazja do posłuchania „marszów, przyśpiewek weselnych i dowolnych utworów oraz wymiany doświadczeń". Może impreza się odbędzie, skoro „Kurier" zdementował?

MP

POCZTA literacka

W. Ch. Zamość. Krytycyzm wobec własnych wierszy to już coś. Dotyczy on formy, istotnie, dawno już przebrzmiałej. „Ręce białe jak alabaster" — to wiecze się przecież od Kochanowskiego. „I w takiej chwili..." — to znów echo Mickiewicza. A więc nie tylko forma, lecz również sposoby obrazowania pochodzą z lektur szkolnych i to w sumie przekreśla całą robotę. A nosi ona znamię szczerego przeżycia, i to wrażenie stanowi wyraźne przeciwieństwo koturnowej formy. Jeśli więc poradzę panu odrzucenie rymu, rytmu i starych, a więc cudzych przenośni, to nie dlatego, że uznaję tylko tzw. nowoczesną poezję, lecz głównie dlatego, iż w tym odrzuceniu widzę na razie zasadniczy warunek antentyzmu pana wierszy. Pisze pan w liście: „Inne też są problemy poruszane w wierszach obecnie spotykanych"... Co do tematu, to nikt nie może opatentować dziedziny, zwłaszcza tak odwlecznej, jak ta, w której wystartował pan swoją twórczością — otóż miłości. Współcześni poeci, wśród nich ci „nowocześni" również piszą o miłości, m.in. dlatego, iż nikt jeszcze nie wymyślił bardziej ponętnego tematu dla poezji.

Jerzy U. Lublin. „Serce jak samotny myśliwy". To ładne, ale już zostało wymyślone. Mówiąc o „nierwanie" ma pan chyba na myśli „nirwanę", niezawodną muzę dobrych, choć posępnych poetów? Ale do rzeczy. Obraca się pan w kręgu wojowniczych sformułowań „Kamiennym korytarzem spływa krew ofiarna... Krzyk niesie zew krwi..." Inne, dziarskie wezwania, jak: „motorem pracy wyj!" oraz ulubione oznajmienia wykrzyknikowe sprawiają pozory siły i ruchu, ale tylko pozory. Rymowanki: „dobroci imię Twe i życie me" może by uszły jako marny tekst piosenki, ale bez zagłuszających decybeli, nawet w piosence ujawnią swoją nijakość.

Anna S. Radom. Opowiadanie „Mróz" ma 19 stronic i niewiele treści. Do końca czekamy, aż coś tam zacznie się dziać, lecz poza odmrożeniem uszu Antosia nic się nie zdarzy. A szkoda, bo jest to kawałek dość dojrzałej prozy. Cóż z tego, skoro sprawność warsztatowa musi iść w parze z treścią. Trzeba po prostu mieć coś ważnego lub ciekawego do powiedzenia. Zachęcam do dalszej pracy.

Wiesław A. B. „Musimy się spotkać i rozstrzygnąć, gdzie, w jakiej wojnie dzieje się Mały Mojżesz?!" Bo dzieje się na jakiejś cholernej pustyni, występuje tam górnik i gebirgsjeger, jest szczyt Moucherolle (Alpy?) oraz jakaś miejscowość Villard de Lans. Potrzebne są jakieś punkty odniesienia w czasie i atlasie, bo w przeciwnym razie temu dobremu opowiadaniu grozi zagłada, w czym „Poczta" ma wypróbowaną wprawę. Natomiast bez żalu rozstaję się z „Pejzażem" oraz „Przedświtami".

Sławomir B. Lublin.

mówiłaś acha, mówiłaś
że jesteś w ciąży
z moim kolegą
z trzeciego piętra

Nie wykluczone, że stało się to dokładnie w tym samym czasie, gdy Pan pisał o niej ten wiersz. Co dowodzi, że kolega wybrał krótszą drogę do celu. A w ogóle, to dziewczyna uprawiająca tak „piętrową" miłość nie zasługuje na wiersze, nawet najsłabsze. W końcu trzeba zacząć cenić swoje pióro.

Zygmunt J. P. Słupsk. To już kawałek poezji, ale mam pretensję do kilku nieładnych wstawek, które są po prostu niepotrzebne, nieuzasadnione w kontekście estetycznym. Tych słów nie podyktowała pruderia, lecz troska o całość poetyckiego doznania. Bo tak: „podejrzewam że i moja matka za późno wraca do domu", albo: „dziewczyna z zdrowymi udami/ w pianie wilgotnego piwa/ marzy o powrocie". Te fragmenty z wierszy „W dzikich koniach" i „Głodni chleba" są jak kamienie w okno o cichym pięknym zachodzie słońca. Zatrzymuję „Do ogrodu mi tęskno", ale wolałbym otrzymać coś jeszcze, w czym dałoby się trochę poprzebierać.

Józef W. Bydgoszcz. Bardzo silna konkurencja w teczce z fraszkami, a pańskie utwory nie wytrzymują konkurencji z wieloma innymi, które od dawna czekają na druk. Weźmy dla przykładu „Siłę kobiety";

Siłę kobiety w tym mierzą
ile ona przeżyje mężów

Co wcale nie jest prawdą, wszak jest wiele kobiet o tytanicznej sile charakteru lub mięśni, a mężów mają po jednym, niekiedy bardzo mikrutkim. Sam Grochowiak kiedyś sobie westchnął: tobie by trzeba zalotnych niedźwiedzi a tu mąż jak wielkanocny śledzik.

Tadeusz W. Lublin, Tadeusz Ch. Jarosław, Jacek Z. Biesko - Biała, Maryla B., Tomasz Z., Tomasz S., Andrzej W. Andrzej K., Józef B. Wyszków — nie skorzystamy.

H. P.

KRZYŻÓWKA
(nr 5)

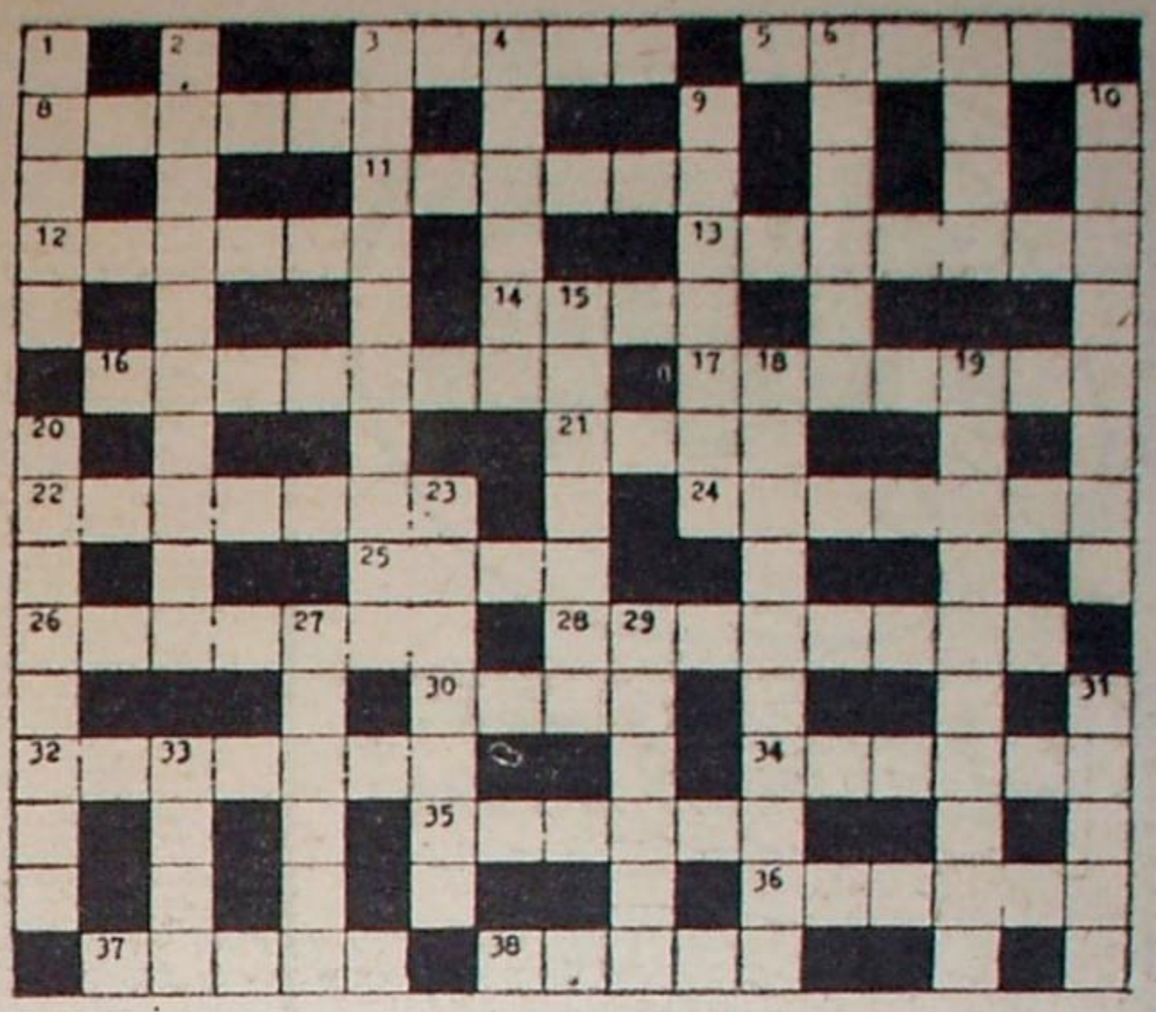

Poziomo: 3. jezioro Popiela, 5. szkło w oknie, 8. była w krainie czarów, 11. popularny choć martwy język, 12. osobnik męski, 13. stopa wiersza składająca się z sylaby długiej i krótkiej, 14. rzeka pamiętna z wojny domowej w Hiszpanii, 16. suszony owoc winorośli, 17. miasto wojewódzkie, 21. stolica jednej z republik radzieckich, 22. ozdobne obramienie płaskorzeźby, 24. kochał się w swej uczennicy Heloizie, 25. miejsce oglądania filmów, 26. dopływ Motławy, 28. powieść E. L. Voynich, 30. 20 libr papieru, 32. elektrycznie obojętna cząstka elementarna, 34. krótki okres czasu, 35. rowerzysta, 36. miasto w Chinach, w którym podpisano traktat po wojnie opiumowej, 37. własny dom letniskowy lub weekendowy, 38 pisarz brazylijski, autor „Kakao".

Pionowo: 1. melodia do chodzenia, 2. podróż doń opisywał poeta z następnego hasła, 3. poeta polski, którego 75-lecie urodzin przypadało w styczniu b.r., 4. karnawałowe ciastko, 6. było w „Kamenie" przed „Źródłami", 7. wybitny klasyk muzyki światowej, 9. zesłanie połączone z ciężkimi robotami w carskiej Rosji, 10. szef jednostki administracyjnej w Polsce, 15. imię bohatera bitwy racławickiej, 18. wieś wsławiona wielką bitwą z okupantem w czasie wysiedlania Zamojszczyzny, 19. wykopalisko archeologiczne, 20. kieruje finansami organizacji, 23. jedno do drugiego zbierze się miarka, 27. majowy kwiat, 29. przeciwstawienie kwasu, 31. fińska łaźnia, 33. część uprzęży na łeb.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 3

Poziomo: sekwens, kapusta, archeologia, Argo, Drda, pole, Kobe, Alian, gra, tarka, Gojawiczyńska, Achai, Bar, Kabul, Rota, udar, faun, Ikar, Pontoppidan, Karpaty, lunatyk.

Pionowo: saga, Krąg, szereg, kaleka, star, Azja, ropa, idea, relegacja, dyktatura, Ontario, Błońska, racja, Arno, Batory, rumpel, aria, frak, upór, knot, Rusk.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 3 książki wylosowali: Helena Puchała 20-128 Lublin, Okrzei 16/22, Andrzej Żyliński 20-601 Lublin, Balladyny 2/177, Stefan Polański 21-040 Świdnik, Kościuszki 7/18, Tadeusz Jarząbski 15-399 Białystok, Czarna 8.

Listy do kameny

TELEMATYKA ZAGRAŻA PRASIE

W nr 4 „Kameny" z prawdziwym zainteresowaniem przeczytałem artykuł o nowym sposobie przekazywania informacji — teletexcie. Myślę, że na razie nie potrzebujemy sobie robić zmartwienia. Sprawa dopiero w powijakach na Zachodzie i wiele upłynie czasu, zanim ona do PRL dotrze i się upowszechni. A ponadto nie w tym widzę rzeczywisty kłopot i właściwie jest mi wszystko jedno, czy teletext zagraża telewizji, a telewizja prasie, czy też odwrotnie. Albowiem wszystkie one zagrażają książce i to jest prawdziwy problem. Telewizja, prasa (niech będzie i teletext są z natury rzeczy ulotnymi, a często i powierzchownymi, źródłami informacji i nigdy nie będą w stanie zapewnić tak głębokiego, wielostronnego oraz kameralnego przeżycia jak książka. Tymczasem popatrzmy, co dzieje się w szkołach. Nauczyciele bardzo chętnie korzystają z pomocy radia i telewizji w serwowaniu lektur szkolnych, gdyż to i prościej, i łatwiej. Egzekwuje się niewiele lektur w całości i przy wymaganiu, aby je uczeń przeczytał. W efekcie nasze dzieci poznają świat literatury wyrywkowo i z drugiej ręki, nie odczuwają potrzeby czytania. Wyrabia to fatalne nawyki w przeżywaniu świata w ogóle, rodzi osobowości płytkie i wtórne. Inna sprawa, że nawet gdyby było odwrotnie i szkoła zachęcała do samodzielnych lektur, to i tak byłyby kłopoty, ponieważ u nas dobrą książkę kupić coraz trudniej, Sienkiewicz dostępny tylko w subskrypcji, a „Polityka" prowadzi dział omówień pozycji edytorskich, który się nazywa „Spod lady", i w tym momencie wszystko staje się jasne!

Jan Z.
Lublin

Co do wyższości książek nad telewizją i prasą — można się z Panem częściowo zgodzić, aczkolwiek sprawa postawiona jest przesadnie i trzeba też widzieć zalety telewizji oraz prasy. Pewno, że na rynku nie ma takich nakładów atrakcyjnych książek, jak chyba byśmy sobie wszyscy życzyli. Niemniej istnieją jeszcze biblioteki.

Red.

CO Z ZAOPATRZENIEM?

Z racji charakteru swej pracy bardzo wiele podróżuję po kraju, a szczególnie po Polsce wschodniej, i dochodzę do wniosku, że najczęściej towar atrakcyjny (czekoladę, zagraniczną herbatę) łatwiej dostać w małych miejscowościach niż w samej stolicy makroregionu — Lublinie. Ponadto widzę na półkach sklepików wiejskich bardzo piękne kieliszki, zastawy stołowe, porcelanę ćmielowską, których to rzeczy tam nikt nie kupuje, a w Lublinie poszłyby jak woda. Panowie handlowcy! Czy fakty te są wam nieznane i jeśli tak, to dlaczego? A kto odpowiada za ten fatalny (i niemądry!) rozdział masy towarowej?

Stanisław Burzanowski
Lublin

NOWE EXLIBRISY

Muzeum Ignacego Kraszewskiego w Romanowie wydało w oficynie wydawniczej Wojewódzkiego Domu Kultury w Lublinie dwa exlibrisy według projektu Zbigniewa Strzałkowskiego. Za pośrednictwem redakcji „Kameny" pragniemy poinformować wszystkich zainteresowanych kolekcjonerów o możliwości nabywania tych exlibrisów w naszym Muzeum w Romanowie.

Maria Mironowicz
Dyrektor Muzeum

BRAWA DLA SANDAUERA!

Brawa należą się „Kamenie" za rozmowę z Arturem Sandauerem (nr 3). Oczywiście, ze znanym krytykiem można się nie zgadzać, poglądy jego bowiem niekiedy dziwne, ale posłuchać go zawsze warto. Tak samo jak warto posłuchać każdego inteligentnego człowieka. W czasach, kiedy sztuka i pasja konwersacji oraz dyskusji ginie, Sandauer jest jednym z niewielu, którzy umieją i chcą się temu oddawać.

Hanna Janowska
Wieluń

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) Bronisław Kowalski, Henryk Pajak (kierownik działu literackiego), Maciej Podgórski, Waldemar Stępień (fotoreporter) Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach:
— do 25 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego i na cały rok następny,
— do 10 marca na II kwartał roku bieżącego,
— do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze,
— do 10 września na IV kwartał.

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje, organizacje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych oddziałach RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH" w miejscowościach zaś w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych.

Czytelnicy indywidualni opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa nr 28 00-958 Warszawa konto PKO nr 1531-71.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—15.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 8. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4.

Nr indeksu 35351

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat redaktor naczelny 255-93 dział publicystyki i literacki 275-35.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

DZISIAJ – SPORT
SEZON ZIMOWY W PEŁNI

Ry A. Stok

Rys. W. Fuglewicz

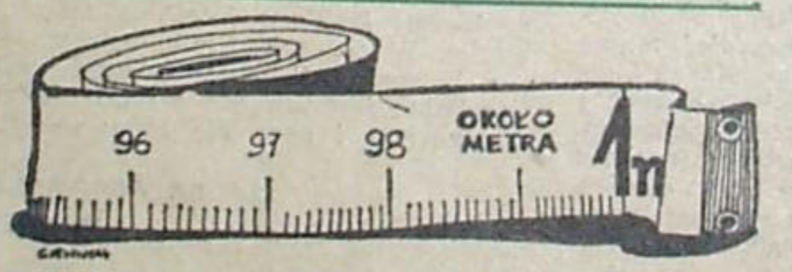

Rys. Zb. Cieniuch

ŻYCIE NA DWORZE (I)

Istvan Rath-Vegh

Klęcząca Europa

NIEMIECKI historyk Johan Christiann Lünig po wielu latach pracochłonnych badań wydał w 1718 roku pracę w dwóch tomach o pretensjonalnym tytule „Theatrum ceremoniale". Dwa ogromne tomiska wydrukowane w Lipsku musiały ważyć dobrze ponad dziesięć kilogramów. Autor przedstawia w nich, omawia, tłumaczy i komentuje ceremoniał panujący na dworach europejskich władców. Prezentuje także bogaty zbiór anegdot ilustrujących ten ceremonialny rytuał. Długie opisy poświęca przyjęciom i uroczystościom pożegnalnym przy okazji wizyt składanych sobie nawzajem przez rozmaitych nic nie znaczących książąt.

Udostępnienie tego bogactwa materiału skłoniło w dziesięć lat później Juliusza Bernarda von Rohra do nadania książce Lüniga systematycznej, uporządkowanej formy. Opublikował on swą pracę pod tytułem: „Wprowadzenie do ceremoniałów przestrzeganych przez wielkie osobistości". Używając słowa „wprowadzenie", autor pragnął podkreślić swoją nadzieję, iż z czasem studia w tej dziedzinie wiedzy uzyskają rangę odrębnej gałęzi nauki.

Lünig uzasadniał w ten sposób potrzebę dworskiego ceremoniału: „Wielkie osobistości są ziemskimi przedstawicielami Wszechmogącego, stworzonymi na Jego podobieństwo. Ich obowiązkiem jest przeto przypominać Go pod każdym względem. Bóg rządzi światem, więc jego reprezentanci na ziemi, którzy winni Go gorliwie naśladować, muszą zdawać sobie sprawę z tego, jak ważne jest, by i oni w swoich rządach zachowywali ustalony rytuał. Zwykli ludzie chętniej kierują się przykładem swoich władców niż wskazaniami przepisów prawa. Gdy lud odnajduje zdrowy ład w zachowaniu się i zwyczajach swych panów, naśladuje ich, budując pomyślność całego kraju. Gdy lud natomiast widzi zamieszanie i nieład, wówczas zaczyna wątpić, czy jego książę jest rzeczywiście ziemskim przedstawicielem Boga, traci respekt należny władcy. W krajach, gdzie tak się dzieje, musi zapanować chaos. Dlatego też wielcy monarchowie ustanowili zasady, których przestrzegać muszą zarówno oni sami, jak i wszyscy na ich dworze".

Tak władcy zostali przedstawicielami Boga i — co za tym szło — musieli starać się być do Niego podobni.

W kościele ołtarz i przestrzeń za balustradą ołtarza zarezerwowana była dla Boga i jego sług księży, stojących poza ludem. Podobnie też ziemski reprezentant Boga, książę i jego dwór, winien odseparować się od ludu w specjalnie wzniesionym sanktuarium. U wejścia do tego sanktuarium zaciągnięto złotą kurtynę dworskiej etykiety. Kurtynę tę utkano na Dalekim Wschodzie; wszak każdy godny władca w Azji zwykł nazywać siebie synem słońca lub bratem księżyca, a w najgorszym razie — kuzynem gwiazd. Żądał też od swych poddanych tej samej religijnej czci, jaką okazywali jego znakomitym krewniakom.

Ceremoniał pochlebstwa trafił z Dalekiego Wschodu do Bizancjum, skąd krzyżowcy przynieśli go do Europy Zachodniej. Boska część okazywana władzy królewskiej miała posmak Azji, wysoko ceniony przez władców zachodnich, którzy przystosowywali ten ceremoniał do własnych potrzeb. Pierwszej próbie poddano go na dworze burgundzkim. Następczyni Karola Śmiałego wprowadziła uroczysty ceremoniał na dwór Habsburgów. Gdy Filip Piękny ożenił się z Joanną Obłąkaną, ceremoniał dworski zawędrował do Hiszpanii, gdzie udoskonalony został przez Karola V i Filipa II. Za ich przykładem poszli austriaccy Habsburgowie, królowie francuscy i angielscy. Wyszukany ceremoniał dworski przyjęli nawet drobni książęta niemieccy, starający się naśladować zwyczaje Wersalu.

Rzymscy cesarze Honoriusz i Arkadiusz wydali w 404 roku naszej ery dekret, którego celem było przywrócenie porządku i utrzymanie dyscypliny po okresie ogólnego wzburzenia i zamieszek. Ostatni ustęp tego dekretu mówił: „Ci wszyscy, którzy w bluźnierczej zuchwałości ośmielili się podważać nasze boskie pochodzenie, winni być pozbawieni stanowisk, a ich majątek zostanie skonfiskowany". Dekret ten, napisany szkarłatnym atramentem, wydany został — warto podkreślić — przez chrześcijańskich cesarzy Zachodniego i Wschodniego Rzymu, a nie przez pogańskich imperatorów rzymskich. Każdy rozkaz cesarza bizantyjskiego był traktowany jako słowo Boga, a do samego cesarza zwracano się słowami „Wasza Wieczność".

Wyobrażając Boga, cesarz żądał okazywania mu czci boskiej. Bezwzględne reguły dworskiego ceremoniału nakazywały zarówno posłom z innych dworów, jak i własnym wiernym poddanym padać na twarz u stóp cesarza. Luitprand, biskup Cremony, opisuje w swojej relacji dla króla włoskiego, jak wyglądało przyjęcie go przez cesarza. Cesarz zasiadał na tronie ze złota, w cieniu złotego drzewa o złotych gałęziach i liściach. Na drzewie siedziały delikatnie rzeźbione złote ptaki. Dwa szczerozłote lwy spoglądały na przybysza ze swych miejsc po obu stronach tronu. Gdy poseł zbliżył się do tronu, sztuczne złote ptaki zaczęły śpiewać, a z paszcz dwóch lwów wydobył się ryk jak grzmot. Biskup i jego świta zgodnie z ceremoniałem padli na twarz przed cesarzem. Gdy znów podnieśli głowy, zobaczyli, że zniknął cesarz i jego tron. Ukryty mechanizm podniósł całą platformę wysoko w górę, skąd boskie oczy cesarza rzucały na oniemiałego posła spojrzenia jak błyskawice.

Władcy zachodniej Europy nie domagali się przesadnej uniżoności, uważanej za właściwą na Wschodzie — wystarczyło im, gdy przed nimi klękano. Ten niewygodny sposób okazywania respektu pochodzi najprawdopodobniej z Hiszpanii, a później przyjął się na dworze austriackim. Cesarze austriaccy lubili widocznie tę demonstrację wiernopoddaństwa, skoro nigdy nie zaprzestali wyszukiwania nowych okazji do zmuszania poddanych, by przyjmowali pozycję klęcząca. Petenci musieli wręczać swe prośby klęcząc na obu kolanach; w innych wypadkach wystarczało klęknięcie na jednej nodze. O tym, kiedy trzeba było klęczeć na dwóch, a kiedy można było klękać na jednym kolanie, mówiły sztywne, bezwzględne reguły. Gdy cesarz przejeżdżał przez miasto, każdy przechodzień musiał złożyć mu hołd, klękając na jednej nodze. Nawet ważne osobistości jadące w powozach nie były zwolnione od obowiązku okazania szacunku cesarzowi, musiały zatrzymać powóz, wysiąść i ukorzyć się przed władcą — kobiety składały ukłon, a mężczyźni klękali na jednym kolanie. Reguły te zostały nieco złagodzone w czasie panowania Marii Teresy. Poeta Lessing, który nie miał praktyki w tych ćwiczeniach gimnastycznych, potknął się o własną nogę w czasie prezentacji u cesarzowej, ona zaś wspaniałomyślnie zwolniła go od powtarzania tego ćwiczenia. Jej syn i następca, Józef II, zniósł te formy czci, gdy tylko objął tron. Fryderyk II pruski, idąc za jego przykładem, w dekrecie odczytanym z ambon 30 sierpnia 1783 roku ogłosił, iż klęczenie jest wyrazem hołdu należnego Bogu i dlatego stosować go wolno tylko wobec Boga.

Pomimo swego przepychu i zamiłowania do uroczystości, Wersal nigdy nie przyjął etykiety hiszpańskiej, która okazała się zbyt przesadna i sztywna, by odpowiadać francuskiemu smakowi. Za to w Anglii kolana dworzan były wystawione na ciężką próbę. Pewnego dnia w roku 1547 francuski marszałek Vieilleville zaproszony został na obiad przez króla Edwarda VI. Pamiętniki marszałka zawierają żywy opis jego zdumiewających doświadczeń w czasie tego obiadu:

„Potrawy podawane były przez rycerzy Orderu Podwiązki, którzy za każdym razem, gdy zbliżyli się do stołu, padali na kolana. Lord Steward odbierał od nich półmiski i klęcząc podawał je królowi. Nas, Francuzów, bardzo dziwiło, że najznakomitsi przedstawiciele angielskiej arystokracji, także wielcy dowódcy wojskowi, musieli ustawicznie klękać, podczas gdy we Francji nawet paziowie tylko uginają kolano wchodząc do komnaty".

Za panowania królowej Elżbiety I jeszcze częściej klęczano na angielskim dworze. Paul Hentzner, podróżnik niemiecki, przedstawił relację naocznego świadka o tym, jak nakrywano stół dla królowej. Najpierw szedł wysoki urzędnik dworski ze specjalną laską w ręce, a za nim sunął inny gentelman z obrusem przewieszonym przez ramię. Obydwaj trzykrotnie klękali kolejno na jednym kolanie przed pustym stołem. Wreszcie gentelman z obrusem rozkładał go na stole i znów obaj mężczyźni klękali trzy razy, zanim opuścili salę jadalną. Wkrótce wchodzili dwaj inni dostojnicy dworscy; jeden z nich niósł solniczkę i chleb na srebrnej tacy, drugi jedynie uroczyście kroczył przed tamtym. Przed i po położeniu tacy na stole obydwaj trzykrotnie klękali. Potem dwie damy dworu wbiegały drobnymi kroczkami do sali i przynosiły nóż (widelców jeszcze wówczas nie używano). Również i one składały trzy razy ukłon przed i po ułożeniu noża na stole. Głos trąbek i dźwięk werbli obwieszczał przybycie służących z dwudziestoma czterema daniami, podanymi w dwudziestu czterech złotych naczyniach, które ustawiano na stole. Królowa ciągle jeszcze się nie zjawiała, przybywała natomiast grupa dam dworskich. Każda z dam z dostojeństwem i szacunkiem podnosiła jedno z naczyń — po czym posiłek zanoszono do komnaty królowej. Królowa Elżbieta I pragnęła bowiem tego dnia zjeść obiad w samotności swego apartamentu. Tam wybrała jedno czy dwa dania, a pozostałe odnoszono z powrotem i potem pożywiły się nimi damy dworu.

Nawet za panowania Karola II orszak królewski witał go na klęczkach. Gdy francuski rycerz Grammont przebywał na dworze angielskim, król zwrócił się do niego chełpliwie w czasie obiadu: „U siebie, we Francji, nie widział pan zapewne takiej sceny, kawalerze de Grammont; dworzanie króla francuskiego nie padają przed nim na klęczki, nieprawdaż?".

Francuz odpowiedział zgodnie z prawdą: „Nie, Sir. Muszę się jednak przyznać, iż padłem ofiarą nieporozumienia. Sądziłem, że ci panowie klęczą po to, by przebłagać Waszą Wysokość za to straszne jedzenie, jakie ośmielili się Jej podać".

(C.d.n.)

Tłumaczył:
Ryszard Bańkowicz,
tytuł redakcyjny („Oko")

W następnym numerze:
Etykieta hiszpańska

„Co jest z tymi pieniędzmi?"

Siedmioletnia Majka po raz pierwszy w życiu wyjechała na kolonie szkolne. Jak widać z listów dziewczynki do rodziców, świat kolonijny i w ogóle budzi u niej doznania raczej mieszane:

Kochana Mamusi i Tatusiu!

Omal co nie poszłam do izolatki, bo mam pęcherz zaziębiony i robiłam 10 razy na dzień siusiu, i byłam u pani doktora, i brałam tabletki. Mieliśmy okropnie śmieszne ognisko. Jak byłam na Kaszubach w muzeum kaszubskim, to kupiłam sobie nuty kaszubskie. Czy już mój Kacperek (żółwica — dop. red.) jest w ciąży i czy już ma jajeczka Przeważnie apel mamy na I piętrze. Okropnie płakałam, jak usłyszałam że pójdę do izolatki. Ewa uprała mi spodnie i nie popłynęłam na Hel, i dobrze, bo pół statku wymiotowało, i marynarze okropnie przeklinali.

Całuję mocno, całusów 102, pa, pa — Maja.

•

Kochani Rodzice!

Płynęłam już statkiem na Westernplatte. A z Sopotu, z tego samego molo, co byłam na nim z mamusią płynęłam statkiem na Hel. Chyba trochę nie będę mogła nosić okularów, bo mam już bardziej skaczące te trzymania. No i co jest z tymi pieniędzmi, proszę mi przysłać pieniądze! To jest mój ostatni list, ale bardzo proszę Tatusia, żeby mi kilka jeszcze kopert poadresował, włożył w nie papier. Ja nic nie porabiam oprócz płakania. Ja się czuję tak sobie. Ja się bawię ze wszystkimi dziewczynkami w mojej sali. Byłam, i to sto razy, na wycieczkach. Na apelu mówino, że Bałtyk jest zatruty, pani kierowniczka powiedziała, że można się kąpać, jak w Bałtyku jest 20 stopni ciepła. Tatusiu, dobrze czytam i Twój list, i Mamusi list. I ja liczę dni, kiedy do domu wrócę. Nie chodzę na plażę, bo mamy brzydką pogodę. Nie za bardzo wesoło na koloniach. Ja jem tak sobie. Jestem taka sobie. Mi się nie podoba na koloniach i nudzi. Jszcze nie wiem, czy będę na wycieczce wodolotem. Znam już całą klasę. Wcale nie jest wesoło. Byłam już na Westernplatte, a pani mówiła nam, że ziemia na Westernplatte cała jest zmieszana z krwią. Jadłam lody z waty, jak byłam w Gdańsku Głównym. I jak byłam jeszcze w Gdańsku Głównym, to byłam na wieży i widziałam trzy miasta. Byłam też w Oliwie w katedrze na koncercie i widziałam aniołki, które trzymały w ręce trąbkę i grały na niej, i machały głowami. Kiedy wrócę do domu, to opowiem Wam wszystko.

Całuję mocno, pa, pa. Przysyłam całusów 102 — Maja.

Listy te wpadły nam w ręce przypadkowo. Prosimy rodziców o nadsyłanie podobnej korespondencji.

(Red.)